

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXIV Nr 1(269) Żelów, styczeń 2019

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Damiana Dawida Nowaka, Mirosławy Prywer, Andrzeja Krzysztofa Torbusa

Andrzej Dębkowski – *Człowiek istnieje dla kultury*

Leszek Żuliński – *Wierszyki pełne uśmiechu* oraz wiersz Anety Kolańczyk

Józef Baran – *Spadając, patrzeć w gwiazdy*

prof. Maria Szyszowska – *Filozofia codzienności*

prof. Ignacy S. Fiut – *Poezja publicystyczna* oraz *Liryki na czarnym i na białym*

Stefan Jurkowski – *Wynaturzenia i traumy*

Kazimierz Ivosse – *Złoty róg Paderwskiego* – część 1.

Joanna Friedrich – *Jefe de Jefes*

Marek Wawrzkiwicz – *Nasz niepowtarzalny polski patriotyzm* (2)

Andrzej Walter – *Już dawno się powinno* (*łeb ukreć tej kurwie*)

Dariusz Pawlicki – *Nie tylko o świecach, lampach oliwnych i innych*

Stanisław Grabowski – *O Edwardzie Szymańskim w 75. rocznicę śmierci*

Stanisław Stanik – *Wysokie sfery*

Ryszard Mścisz – *Grabków – miejsce utracone*

Rafał Sulikowski – *Kamienne kręgi*

Paweł M. Wiśniewski – *Potem – nieważne* oraz *Gdy pochłonę nas las*

Witryna

Opinie, Noty, Poglądy

Krytyka

Relacje

Konkursy

Kronika

O Edwardzie Szymańskim...

11 listopada 2018 roku byłem na odsłonięciu pomnika Ignacego Daszyńskiego na Rozdrożu, z udziałem m.in. prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, wicepremiera i ministra Piotra Glińskiego, przedstawiciela Kancelarii Prezydenta Wojciecha Kolarskiego i wielu innych znakomitych gości. Powodów mojej tam obecności jest wiele. Doceniam oratorski kunszt Daszyńskiego, z zainteresowaniem czytałem jego Pamiętniki, ponadto urodziłem się i mieszkałem długie lata przy ulicy Daszyńskiego; poznałem także przedwojennego pepesowca, Władysława Świniarskiego, który osobiście znał tego czołowego działacza PPS, m.in. posła i marszałka Sejmu II RP.

Ale ja nie o tym. W czasie uroczystości rozdawano gazetkę (jednodniówkę) „Daszyniówkę”, w której odnalazłem trzy piękne wiersze... Edwarda Szymańskiego (*Niepodległość, Trzy strofy, Słowo o Ojczyźnie*), dla jednych to „komuch”, „komunista”, dla innych poeta, tłumacz Lukrecjusza, przyjaciel Gałczyńskiego. (...) – **pisze o 75. rocznicy śmierci poety Stanisław Grabowski na stornach 10-11.**

Nie tylko o świecach i lampach

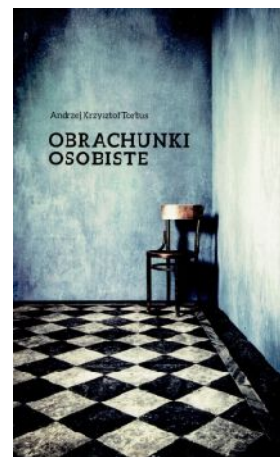
(...) Zdanie mówiące o gaszeniu świecy, zaintrygowało mnie bardzo, wręcz sprowokowało do podjęcia próby przeniesienia się w wyobraźni do czasów minionych. A jedną z ich cech charakterystycznych była rzadkość źródeł sztucznego światła. Rzadkość, jeśli weźmie się pod uwagę ich współczesną nadobecność w niektórych miejscach, szczególnie w wielkich miastach. Co jest wynikiem m.in. wszechobecności kontaktów, przy których użyciu, w bardzo prosty sposób, powoduje się rozbłyśnięcie światła. Kiedy natomiast chcemy skorzystać ze świecy lub lampy naftowej (takie sytuacje mają niekiedy nadal miejsce) musimy wykonać nieco więcej czynności. Lecz to, czy dadzą one światło zależy od nas, jest wręcz w naszych rękach.

Zapalenie świecy czy włączenie lampy naftowej, to jedno, baczenie zaś na nie, ze względów bezpieczeństwa, to drugie. Z obu tych punktów wynika jednak to, że człowiek korzystający z tych źródeł oświetlenia, może uważać się za pana/panią światła. Stoi bowiem za jego początkiem, jak i za końcem. (...) – **pisze Dariusz Pawlicki na stornach 9-10.**



Już dawno się powinno...

Nic tak nie ekscytuje i nie ożywia rynku muzycznego, jak sytuacja, kiedy pojawia się na nim kolejna płyta uznanego mistrza, a właściwie twórcy już o tyle legendarnego, o ile nadal nas zachwyca swoją dykcją czy brzmieniem. Spijamy wtedy zachłannie z ich ust nowe rytmy, piosenki oraz środki wyrazu, rzecz jasna oczekując zawsze w sposób jednoczesny (i jednoznaczny) tego, co już znamy i od dawien dawna polubiśmy. Obserwujemy rozwój i ewolucję tych artystów, zaprzyjaźniamy się z nowymi melodiami, wsłuchujemy w obłaskawione przeszłością nowatorstwo tych utworów. Wiemy też podskórnie, że każde współczesne nam „mistrzostwo” zweryfikuje brutalnie i nieodwracalnie znany nam od lat staruszek... Czas... Mało kto dziś jednak kwestionuje jeszcze artyzm i głębokie osadzenie w dziedzinie sztuki (w opozycji do muzyki klasycznej) twórczości Johna Lennona, Paula McCartneya, Fisha, Davida Gilmoura czy choćby najbanalniej – Boba Dylana. (...) – **pisze Andrzej Walter na stornach 3-4.**



Relacje

Nagroda Literacka ZLP im. Andrzeja K. Waśkiewicza

30 listopada, w gmachu Muzeum Ziemi Lubuskiej, wręczono po raz dziewiąty Nagrodę Literacką im. Andrzeja K. Waśkiewicza – przyznawaną przez oddział Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze. Fundatorem Nagrody był Prezydent Zielonej Góry.

Andrzej K. Waśkiewicz, patron nagrody, był związanym ongiś z Zieloną Górą poetą, krytykiem, edytorem, animatorem życia literackiego. Teraz udział w uroczystości wzięła (i bierze co roku) jego żona **Anna Sobecka**, zresztą kiedyś zielonogórska dziennikarka radiowa i tłumaczka.

Przewodnicząca Kapituły nagrody A.K. Waśkiewicza, dr **Mirosława Szott** odczytała protokół. Nominacje do Nagrody otrzymali: **Władysław Kłępka** (poeta), **Małgorzata Mikołajczak** (profesor UZ, literaturoznawczyni) i **Agnieszka Ginko-Humphries** (poetka, pisarka). Ostatecznie Kapituła zdecydowała, że tegorocznym laureatem został – **Władysław Kłępka**. Artysta otrzymał szklaną statuetkę z zatopionym autografem A. K. Waśkiewicza i stosowny dyplom, ponadto Nagroda miała również wymiar finansowy.



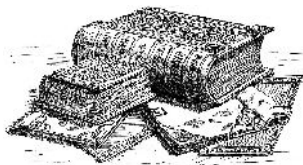
Anna Sobecka wręcza Nagrodę Władysławowi Kłępcowi. Obok przewodnicząca Kapituły Nagrody dr Mirosława Szott.

Kapituła Nagrody pracowała w składzie: Mirosława Szott – przewodnicząca, **Alfred Siatecki** – sekretarz, **Jolanta Pytel**, **Paulina Korzeniowska**, **Katarzyna Jarosz-Rabiej**.

Ponadto została przyznana Specjalna Nagroda Literacka prof. Małgorzacie Mikołajczak za długoletnie wspieranie lubuskich literatów, za promowanie na Uniwersytecie kolejnych magistrów i doktorów podejmujących sprawy twórców i ich pisarstwa w regionie, za książki, prace i eseje o poczynaniach środowiska. Nagroda ta przyjęła wymiar konkretny w postaci obrazu wybitnego polskiego artysty plastyka prof. **Andrzeja Strumiły**.

Nagrody wręczali: Anna Sobecka, która przybyła z Gdańska, w towarzystwie prezesa oddziału ZLP **Eugeniusza Kurzawy**.

HG



Czego nam brakuje, by stworzyć arcydzieła?

Debatę literacką

5 grudnia 2018 roku, w Bibliotece Głównej Uniwersytetu Zielonogórskiego odbyła się debata literacka pod hasłem „Czego nam brakuje, by stworzyć arcydzieła?”.

Pomysłodawcą debaty był **Eugeniusz Kurzawa**, prezes oddziału ZLP, współorganizatorką dr **Mirosława Szott** z BUZ. Zaprosili do udziału lubuskich poetów, pisarzy i naukowców, którzy – przy obecności publiczności – w dwóch turach (każdy po 5 minut) wypowiedział się, ustosunkował do tez, które wygłosił E. Kurzawa. Brzmiały one – uogólniając tak:

„Żaden z lubuskich pisarzy nie przebił się i nie „usadowił się” w obiegu ogólnopolskim. Nie chodzi oczywiście o zdobyte tu i ówdzie nagrody w ogólnopolskich konkursach literackich, nawet o książki wydane w prestiżowych wydawnictwach o znaczeniu krajowym, o entuzjastyczne nawet recenzje, udział w zjazdach, seminariach, warsztatach literackich. Idzie o to, że w zasadzie nikt poza dwiema – moim zdaniem – postaciami, o których niżej – nikt ze środowiska pisarskiego Ziemi Lubuskiej w okresie powojennym nie wszedł na trwałe do obiegu ogólnopolskiego, nie usadowił się tam, nie wypłynął i nie wpływa na kształt literatury polskiej! Nie wprowadził do literatury polskiej dzieł i wartości, wobec których każdy, niemal każdy, powinien się wypowiedzieć, ustosunkować do nich. A tylko wtedy możemy mówić, iż pisarz, autor jest kimś znaczącym...”

Prowadzący debatę podkreślił, iż wciąż mamy kogoś na miarę białostockiej gwiazdy Edwarda Redlińskiego, czy Urszuli Kozioł z Wrocławia lub Rafała Wojaczka, albo Erwina Kruka z Warmii i Mazur, albo nawet z tychże Mazur Zbigniewa Nienackiego, słynnego „Pana Samochodzika” (tu brał pod uwagę bardziej sławę niż wartości literackie jego dzieł).

Wiadomo, że na Ziemi Lubuskiej świat zaczął się w 1945 roku Dłaczego jednak tygiel po tymże 1945 roku, odwilż październikowa po 1956 roku nie przyniosły tutaj takich dokonań, takiego fermentu, który zaowocował niepowtarzalnym „Awanssem”, „Konopielką”, przejmującymi wierszami mazurskimi Kruka, sztukami teatrów studenckich do tekstów Urszuli Kozioł i innymi dziełami pogranicza i lat fermentu?



Eugeniusz Kurzawa – pomysłodawca debaty

Każdy z gości (a na końcu do głosu dopuszczono chętnych z publiczności) wypowiadał się w miarę szczegółowo, choć chyba żadna z wypowiedzi nie była bezpośrednim ustosunkowaniem się do „zarzutów” Kurzawy. W zasadzie nikt nie powiedział odważnie (co zresztą

sugerował pomysłodawca dyskusji), iż po prostu miejscowym twórcom zabrakło talentu. Oczywiście wymieniano ciekawe publikacje, wspomniano dokonania takich pisarzy jak Trziszka, Dowgielewicz, Morawski, Fedorowicz, ale zgodnie wszyscy przyznali, iż arcydzieła na Ziemi Lubuskiej nie powstały. Nawet jeśli **Olga Tokarczuk** urodziła się w (szpitalu) w Sulchowicach, a wychowała w niedalekiej Klenicy, to nie jest, niestety, Lubuszką i jej twórczości oraz osoby nie da się przypisać do tej ziemi. E. Kurzawa natomiast wskazała, że jego zdaniem dwie tylko postacie z regionu weszły (wejdą na stałe) do kanonu literatury polskiej: poetka gorzowska Papusza i Andrzej K. Waśkiewicz, poeta, literaturoznawca, edytor, krytyk.

Debatowali: prof. **Małgorzata Mikołajczak**, poeta **Czesław Sobkowiak**, dr **Kamila Gieba**, dr **Paulina Korzeniowska**, dr **Arkadiusz Kalin** (Gorzów), dr **Andrzej Kotin**, prozaik **Alfred Siatecki**. Nie mogły wziąć udziału w spotkaniu **Ewa Mielczarek** i **Beata Patrycja Klary** (również Gorzów), obie wcześniej zaproszone.

Zapis rozmów i wypowiedzi ukaże się w całości w periodyku UZ „Filologia Polska”, streszczenie zaś w piśmie „Pro Libris”. Kto wie, czy to nie jest początek jakiejś generalnej dyskusji o lubuskim środowisku literackim, o jego kondycji pisarskiej.

HG



Rys. Barbara Medajska

Humor

Dialog w salonie Empik w Warszawie. Przychodzi ojciec z córką i pyta sprzedawcy:

– Czy jest „Krótki film o zabijaniu?”

Pracownik salonu troskliwie pochyla się nad komputerem, szuka w spisie, by po dłuższej chwili odpowiedzieć:

– Szanowny panie! Niestety nie, wszystkie filmy mają mniej więcej dwie godziny.

■

Andrzej Walter

Już dawno się powinno (łeb ukręcić tej kurwie)

Zaczerpnięte i sparafrazowane na potrzeby tego tekstu z wiersza „Toast”.
(Zamiast Epilogu) Andrzej Krzysztof Torbus z najnowszego tomu: „Obrachunki osobiste” 2018

Nic tak nie ekscytuje i nie ożywia rynku muzycznego, jak sytuacja, kiedy pojawia się na nim kolejna płyta uznanego mistrza, a właściwie twórcy już o tyle legendarnego, o ile nadal nas zachwyca swoją dykcją czy brzmieniem. Spijamy wtedy zachłannie z ich ust nowe rytmy, piosenki oraz środki wyrazu, rzecz jasna oczekując zawsze w sposób jednoczesny (i jednoznaczny) tego, co już znamy i od dawien dawna polubiliśmy. Obserwujemy rozwój i ewolucję tych artystów, zaprzyjaźniamy się z nowymi melodiami, wsłuchujemy w obłaskawione przeszłością nowatorstwo tych utworów. Wiemy też podskórnie, że każde współczesne nam „mistrzostwo” zweryfikuje brutalnie i nieodwracalnie znany nam od lat staruszek... Czas... Mało kto dziś jednak kwestionuje jeszcze artysty i głębokie osadzenie w dziedzinie sztuki (w opozycji do muzyki klasycznej) twórczości Johna Lennona, Paula McCartneya, Fisha, Davida Gilmoura czy choćby najbanalniej – Boba Dylana.

Nie inaczej dzieje się w świecie literatury. To jakby ten sam mechanizm tutaj gra. Każda nowa książka znanego i uznanego już powszechnie autora wzbudza zainteresowanie, ekscytację i silnie podpartą uprzednim doświadczeniem ciekawość, najpiękniej, kiedy popartą nadal utrzymanym wysokim poziomem merytorycznym, treściowym czy wartościowym. Różnicą jest tylko skala, czy też zasięg społecznego odbioru takiego dzieła. Wiadomo – muzyka rozrywkowa przeznaczona jest dla mas, literatura, a zwłaszcza poezja dla elit i to w bardzo zawężonym tego słowa znaczeniu. Po prostu – poezję, jako sztukę najwyższą (bo też i najtrudniejszą w odbiorze) czyta dziś i smakuje tylko elita elit, albo śmiało można suponować, że elita *tak zwanych* elit. No, zostawmy te elity oraz pseudoelity i wróćmy z entuzjazmem do poezji i nowego, doprawdy świetnego, tomu poezji znanego poety...

Tak właśnie dzieje się w przypadku **Andrzeja Krzysztofa Torbusa**, legendy już wręcz, krakowskiego środowiska literackiego, jednego z najlepszych dziś polskich poetów, człowieka: skromnego, wycofanego, wyjątkowo uzdolnionego i wrażliwego, który zaprasza nas do swojego jakże odrębnego wszechświata wierszy wprost spoza współczesności.

Torbus to poeta bardzo osobny, zatrzymamy „w innym czasie”, poeta, rzekłbym „starej daty”, mistrz samostanowienia oraz mistrz podążania własnym literackim szlakiem i takimż też raczy nas dziś tomem, zatytułowanym przewrotnie „Obrachunki

osobiste”, które zdają się być takie, jak sugeruje w posłowiu wydawca (czy też wydawczyni – Magdalena Węgrzynowicz-Plichta, Wydawnictwo Signo), bardzo wytrawnym oczyszczeniem szuflad z długo wyczekiwanym przez czytelników skarbów poetycznego, ale iście *torbusowego* słowa...

Andrzej Krzysztof Torbus w tomie „Obrachunki osobiste” obnaża nam bardzo jaszkrawo głębię swojego rozgoryczenia. Być może jest to też i nasze rozgoryczenie, z jakimś wspólnym mianownikiem postrzegania rzeczywistości... Na szczęście, jak trafnie zauważa Magda w swoim świetnym posłowiu (tym razem w roli krytyka literackiego) poezję tego autora cechuje potężna doza autoironii, co zdecydowanie umiła nam odbiór całokształtu prawd i sensów zawartych w tej liryce. Nie ukrywajmy jednak. To liryka bólu, smutku, rozgoryczenia, poczucia klęski, przegrania i wycofania się. Oczywiście – wszystko zależy od odbiorcy. Jeden czytelnik zwróci uwagę na ironię, autoironię, zdrowy dystans, a inny, przeniesie jednak akcent na tę potężną dawkę porażki, której doznaje chyba każdy człowiek, pod koniec życia obłaskawiając nieuchronność. Tutaj dochodzi jeszcze porażka „bycia poetą”. Tego już chyba nikt nie zakwestionuje. W czasach „kiedy nie można być poetą”... Człowiek, i to też – oczywiście, mniej lub bardziej potrafi oswoić: starość, lęk, przemijanie i jak już podkreśliłem – nieuchronność końca, a nawet znaleźć w tej kolei losu radość, sens i wiele piękna. Ten mechanizm obronny nie jest wcale zły. Nasza psychika dzielnie walczy z przeciwnościami. I tutaj *torbusowe* strofy są bezcenne. Autoironia i gorzyc tworzą miksturę oczyszczającą. Zwłaszcza w poezji i twórczości najwyższych lotów, czerpiącej z całego dziedzictwa przeszłości, z dykcji dziś niemodnej, starodawnej i wyniesionej do lamusa, a jednak na kartach „Obrachunków osobistych” z dykcji żywej, fascynującej i po prostu – naturalnie pięknej.

Zatrzymać się możemy dosłownie przy każdym wierszu. W każdym z nich coś odnajdziemy, czegoś doświadczymy, coś nas pociągnie, w jakiś nasz prywatny rejon. Dobrze czyta się poezję, która zawsze, wszędzie i w każdym czasie stanowi dialog poety z czytelnikiem, stanowi dla czytelnika inspirację, czy też pomost wymiany własnej wrażliwości, przelanej tu i teraz na papier w postaci poezji napisanej i wyrażonej przez poetę, z wrażliwością czytelnika, którą zapładnia do snucia własnych myśli, doznań, czy wręcz olśnień. Podkreślmy też ową specyficzną mądrość poety, poety będącego

ponad rzeczywistością, poza nią i z dala od niej. To sen o wolności podany na tacy lektury. Po to się poezję czyta, dlatego się poezji łaknie, z tego powodu poezji się szuka... I najbanalniejszym pytaniem jest... czy ludzie dziś jeszcze nadal chcą być wolni? Cóż dla nich dziś znaczy – wolność? Czy nie zafałszowali pojęcia, nie zdefraudowali definicji, kontekstów i sensu? Czym jest wolność w dzisiejszym świecie? Poezja, która wiedzie nas do pytań, do myśli i do rozważań – to wielka sprawa. Ważna sprawa. I właśnie dlatego piszę ten tekst. Powinniśmy wyrazić poecie wdzięczność, że nas takim tomem obdarował.

Torbus jest świadom swojej twórczości. Wie, że chciał nam dać okruszek „balsamu na duszę”... Andrzej oczywiście skrzętnie potem ukrywa warstwę psychologiczną swojego słowa w arcyciekawej kreacji pejzażowej, sielankowej wręcz, czasami aż sztucznej, jakby żywcem wyjętej z przeszłości. W ten sposób jednak jego poezja dociera do pewnego rodzaju pełni, harmonii i zamyka się w kręgu swojego indywidualizmu, swoistej niepowtarzalności i wyjątkowej formie wyrazu. Najlepsze są dla mnie chyba wiersze mocne, wyraziście, a może po prostu ja takie lubię, to odzwierciedlenie mojego charakteru i resztek mojego usychającego powoli bunt...

Przeczytajmy „Pałę Kraków”.

Motto:
*Ci ludzie, co stoją w Krakowie wysoko,
po większej części są to lalki i manekiny,
które same nic nie umieją,
więc wyrabia się u takich ludzi
naturalna zazdrość do wszystkich,
którzy coś potrafią.
Ja już mam tych manekinów dosyć.
Manekiny nie przeszkadzają mi w niczym,
ale mogą tylko opóźnić, co chcę... (...)
Czekam cierpliwie.*

Stanisław Wyspiański

*Przepraszam Cię Historio,
że żyję i mieszkam
w mieście co się rozsiało
jak kury na grzędzie.
Co nie daje spokoju,
do którego wracam,
które nigdy nie skłoni się
byle przybłądźcie.*

*Przepraszam Cię Historio,
nie czekam na względy,
wszak miasto tchnie stęchłąną
pomimo herbarzy.
Tu się dziury tradycji*

(Dokończenie na stronie 4)

Już dawno się powinno...

(Dokończenie ze strony 3)

*zatyka tradycją,
tu się winy niedoszłe
czapką błazna waży.*

*Przepraszam Cię Historio,
za tu i za teraz,
za krew nie przelaną,
ognia trumnę ciasną,
za radość, gdy pomyśle,
że najwyższej stracę
pomnik,
który oszpecić
mógłby znów to miasto.*

Jakże mocny to wiersz. I jakże prawdziwy. Przecież zastępuje całe tomy rozpraw napisanych o Krakowie, grodzie królewskim, grodzie uzurpującym sobie miano stolicy Polski, grodzie... jakże jedynym, wyjątkowym, specyficznym. Kraków się kocha i Krakowa się nienawidzi. Od Krakowa nie można się uwolnić. Kraków wchodzi pod skórę i zagnieżdża się na wieki, w zasadzie do śmierci. Kraków jest wielki i zarazem „zapyziały”. Krakowski zakalec – jak mawia mój przyjaciel, artysta malarz, Leszek Walicki – ma się dobrze. W swej szpetocie – zachwyca... Kraków toczy się wolno, swoim rytmem, obcym się nie kłania. Kraków zapiera dech w piersiach i potrafi tak wkurzyć, że się ucieka. Zawsze się jednak wraca i zawsze się doń tęskni, zawsze się ... ma go pod skórą, w duszy, w sercu, w nostalgii. Jaki by nie był, jest: domem, kolebką, źródłem... inspiracją.

Jednakże ów – powyżej przywołany, znakomity wiersz, jest tylko pewną efemerydą twórczości Andrzeja Krzysztofa Torbusa. Jak odnajdziemy w jednej z recenzji Jego twórczości, u Torbusa natrafimy na...

...jak zwykle u Torbusa zaskakujące pejzaże. Już przed laty pisano o Torbusie że jest najwybitniejszym pejzażystą we współczesnej poezji. I choć można z tym dyskutować, to jednak jego pejzaże są tak skonstruowane, że chcąc nie chcąc, czujemy w nich nie tylko autentyczny liryzm, ale taki rodzaj refleksji, która nas nie tylko wzrusza, ale i powoduje, że inaczej postrzegamy otaczający nas świat. Przede wszystkim zaczynamy zauważać drobiazgi, których na co dzień nie widzimy. Zwracamy uwagę na słowa, co do których często nie przywiązujemy wagi. Wszystko to za sprawą prostej, choć zaskakującej metaforyki, która trafia do nas nie tylko obrazem, ale zawartymi w niej wartościami, często odwołujących się do naszej tradycji.

Tak też mawia zawsze o naszym drogocennym Andrzeju Krzysztofie Torbusie – Andrzej Dębowski – Redaktor Naczelny Gazety Kulturalnej – to wyjątkowy pejzażysta współczesnej poezji polskiej... (ileż razy to słyszałem – wraz z reakcją niekłamane zachwyty...). I tak właśnie toczy się ten tom. Tom zatytułowany „Obrachunki osobiste”. I w pewnym momencie jednak poeta podchodzi bardziej dosłownie do tych obrachunków,

przeistacza dyskretnie i niezauważalnie lirykę pejzażu, w poezję rozrachunku, w poezję nostalgicznego buntu oraz ukazania, ba, odkrycia nam pewnej prawdy o sobie, a przy okazji prawdy o nas samych, Jego, przypadkowo jakby postawionych na tej cierniowej i jednocześnie radosnej drodze życia druhach – poetach wszelakiej maści i wiary... Tom przeistacza się z najpiękniejszej tkanej liryki w swoisty manifest... Muszę powiedzieć, że jest to niesamowite. Wręcz szokujące.

Nie będę Wam zdradzał treści tych wierszy. Jest zabarwiona ogromną dawką goryczy, rzecz jasna, z właściwą sobie dawką autoironii... Powoduje to jednak sytuację wyjątkową. Z tym tomem po prostu nie wypada się nie zapoznać, to tom bardzo ważny, istotny, i zdecydowany, huczny i wyrazisty głos identyfikacyjny we współczesnej polskiej poezji. Głos, którego nie wolno pominąć. Poeta liryki i marzeń oskarża w nim świat i poezję o marnotrawstwo, o gnuśność, o bezdenną głupotę – wreszcie o infantylizm i bezmyślność obecnych pokoleń wobec: sztuki i ... wieczności... (być może... wieczności, a być może nawet... czegoś więcej...).

Poeta oskarża też i poezją samą w sobie. O krzywdę jaką nam wyrządziła rozkochując nas w sobie, o klątkę namiętności w jakiej nas uwięziła wobec świata, o te lata dorodnie zmarnowane i wszystkie te poświęcone dni czy godziny... tyle, że Autor jest przecież człowiekiem mądrym, dumnym i świadomym. Świadomym konsekwencji swych wyborów i decyzji w życiu. Składa jasną deklarację – wybiera poezję. Zamiast blichtru i bogactw, zamiast wszelkich innych dróg i alternatyw. I poprzez ten wybór i manifest czy heroiczną deklarację – pociąga nas za sobą ku nadziei... że poezja jest wieczna i funkcjonuje poza czasem, że nieważne są nazwiska i pomniki, nieważne laurki i laudacje, odznaczenia czy szable, honory albo zasługi ... ważna jest sama poezja, słowo, które staje się ciałem – sprawa święta i zasadnicza. Podstawowa.

Andrzej Krzysztof Torbus nie czyni tego na pokaz, nie robi tego dla sławy, nie pisze tego pod publikę – wyraża coś, co głęboko tkwi w Jego wnętrzu i poprzez to scala ten najwartościowszy, drobny odłam naszego środowiska w postaci twórców, którzy wierzą choćby w słowa Adama Zagajewskiego:

*Tylko w cudzym pięknie
jest pocieszenie, w cudzej
muzyce i w obcych wierszach.
Tylko u innych jest zbawienie,
choćby samotność smakowała jak
opium. Nie są piekłem inni,
jeśli ujrzeć ich rano, kiedy
czyste mają czoło, umyte przez sny.
Dlatego długo myślę jakiego
użyć słowa, on czy ty. Każde
jest zdradą jakiegoś ty, lecz
za to w cudzym wierszu wiernie
czeka chłodna rozmowa.*

I chłodna nad wyraz rozmowa, to jest chyba właśnie to, co jest nam teraz najbardziej potrzebne. Ostudzenie ideałów, ideologii i namiętności. Wygaszenie sporów, dyktans, namysł i refleksja... nad sobą i rzeczy-

wistością – wreszcie nad Poezją... a może i nad Polską, taką cudowną krainą, w której przyszło nam żyć, trwać i... tworzyć.

Toast

*Poezjo twoje zdrowie,
choć choraś i kulawaś,
choć kiłę masz wrodzoną
i rak ci wewnątrz stawia.*

*I wolisz takich gości
co nie pytają o nic,
bo wieszasz ich i topisz,
nerwicę w mózgu dzwonisz.*

*Poezjo twoje zdrowie.
Nie śpij! Do ciebie mówię.
Już dawno tę się winno
ukręcić takiej kurwie.*

A na koniec, kochani Czytelnicy, odchodząc od zbawiennej autoironii powróćmy do pejzażu... wraz z pierwszymi nitkami babiego lata, albo już nawet smakując wytwornie pierwsze tego roku płatki śniegu...

Poeci

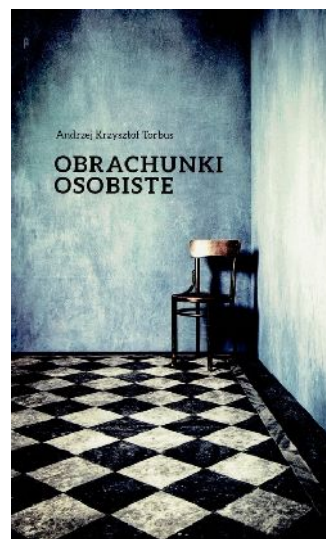
*w szare godziny życia
poeci
przechodzą na drugą stronę rzeki*

*zostają po nich
nie napisane wiersze
i kobiety
którym nie zdążyli
wszystkiego wyznać*

*ich świat
zbudowany z atomów iluzji
rozpada się
wraz z pierwszymi nitkami
babiego lata*

O tak. Nasz świat rozpada się. Jest bowiem i zawsze był, już od pierwszej karkołomnej decyzji „zostania poetą” zbudowany ... tylko z atomów iluzji... a współczesny nam świat takich atomów po prostu nie dostrzega i nie ceni.

Andrzej Walter



Andrzej Krzysztof Torbus „Obrachunki osobiste”. Wydawnictwo SIGNO, Kraków 2018, s. 72.

Mniej Więcej (167)



Foto: Zofia Mikula

Wierszyki pełne uśmiechu

No!, tego jeszcze nie było! Jak od stu lat zajmuję się recenzowaniem, to książki dla dzieci jeszcze nie recenzowałem. Tym razem pobudziła we mnie tę chęć **Aneta Kolańczyk** (znana też jako Teresa Rudowicz), która wydała precudną książeczkę pt. „takie sobie bajeczki”. Już czytałem ją swojej wnuczce Natalce, a ona radowała się od ucha do ucha.

Leszek Żuliński

Aneta jest, obok Izy Fietkiewicz-Paszek, jednym z filarów, kaliskiego życia literackiego. Oj, dzieje się tam od kilku lat, dzieje. Właśnie w minionym listopadzie mieliśmy VIII edycję Ogólnopolskiego Festiwalu Poetyckiego im. Wandy Karczewskiej. A innych wydarzeń tam niemal na co dzień multum.

Poza tym Aneta wydała ze trzy miesiące temu kolejną swoją książkę pt. *In tenebris* – rzecz wysokiej klasy (książkę recenzowałem na portalu Latarnia Morska). No i teraz te bajeczki, które wielu z nas zaskoczyły. A w ogóle to pracuje nad dużą monografią o Asnyku.

Ta książeczka to cudo! Osiemdziesiąt stron tonących w precudnych ilustracjach Anny Sity. Dawno nie widziałem książki aż tak kolorowej i pełnej arcsympatycznych obrazków. Moja Natalka nie nadążała wymachiwać palcem, gdzie jest kotek, język, sowa czy chomik. A menażerii tej tutaj bez liku.

Książka tonie w ilustracjach (nie ma tu ani jednej strony bez obrazków), barwach i – rzekłbym – w specyficznym humorze. Szkoda, że nie możecie zobaczyć chomika, którego hobby jest chemia. Kłębowski menzurek i retort, a on – ten chomik – z rozpalonym wzrokiem coś tam miesza. Stosowny wierszyk już na początku wyjaśnia: *Pewien chomik, Klemens, / bardzo lubił chemię, / przyrządzał mikstury, raz z dołu, raz z góry / raz na opak, raz wspak, ciągle było nie tak...*

A teraz posłuchajcie w łałości jakie problemy miał pewien ornitolog: *Ornitolog w ortalionie / z klatką dla kanarków w dłoni / gonit słońce po peronie, / lecz nie wiedział, po co goni. // Patrzą słońce zadziwione, trąby mają podniesione, / co i raz zatrąbi który / na ornitologa, z góry. // Stoń nie ptak, to przecież widać, / na nic klatka się nie przyda. / Owszem, lubi słoń tropiki / i przed zimą do Afryki // bardzo chętnie by wyruszył, / bo mu szybko marzną uszy, / bo mu w czapce nie do twarzy, / o ciepłych krajach marzy. / Tu na dworcu w Mszanie Dolnej, / czas upływa nieco wolniej, / więc się słońce tu gromadzą / i co dalej robić, radzą. // By im czynność ta nie zbrzydła, / czasem zakładają skrzydła / i są, gdy zachodzi słońce, / słońce troszkę latające. // Jeden krążył raz nad łąką / i ze słońca stał się słonką. / Lecz jak dotąd, bądźmy szczerzy, / nikt mi nie chce w to uwierzyć.*

No, w tym ostatnim wersie Anetka się potknęła: dzieci na pewno w to uwierzą. Bo dzieci jeszcze tak nie stetryczały jak my i mają poza tym cudniejszą niż my wyobraźnię. Nie byłoby surrealizmu, gdyby nie było dzieci. Ale zwróćcie uwagę, ile w tym wierszyku jest pure-nonsensu, dowcipu, serdeczności...

Rodzice czytający na głos młodszym dzieciom te wierszyki też mogą nagle wrócić do dzieciństwa, a przynajmniej przez chwilę oderwać się od dobijającej nas konkretności. Są bowiem, jak powiedział klasyk, rzeczy na niebie i ziemi, o których się filozofom nie śniło.

Tak mógłbym tutaj bez końca cytować i cytować to, co mnie szczególnie uwiodło. Posłuchajcie wierszyka *o krawcu Naparstku i małym Jacku*: *Na ulicy w pewnym mieście / zebrało się gapiów dwieście. // Pan naparstek, znany krawiec, / tu zgromadził całą gawieź, / bo na pomysł wpadł szalony, / będzie w płaszcze stroił domy. / Właśnie jednej kamienicy / bierze miarę i coś liczy, / zapisuje też w zeszytce, / ile czasu zajmie szycie. // Po czym rzecze: Ja, Naparstek, / tu, na rynku w każdy czwartek, / będę szył do późnej nocy. / Szukam ludzi do pomocy. // Nagle tłum się dziwnie kurczy, / ktoś tam coś pod nosem burczy, / ktoś tam śpieszy się na obiad, / inny obiad musi podać / ten się nie zna, / ten się nudzi, // Byli ludzie, nie ma ludzi. / Został tylko mały Jacek: / Zaraz mogę zacząć pracę, / będę dwoił się i troił, / szył, wyszywał, dziergał, kroił. // Jak powiedział, tak też zrobił, / pięknie domy przyozdobił. / Dał im wszystkie barwy tęczy, / lecz się strasznie przy tym zmęczył. // Teraz sobie śpi na plaży, / słońce gładzi go po twarzy.*

Ha!, każdy jeden wierszyk z tego tomiku bawi nas, zaciekawia, rozśmiesza, czasami wzrusza. W zależności od wieku dziecka niektóre tu wyrazy mogą być niezrozumiałe, ale od tego jest rodzic, aby wyjaśnić. W sumie jednak te wiersze Anety nie mają wysokiej bariery językowej, mogą być dobrze rozumiane przez dzieci przedszkolne i szkolne. Mimo że bohaterami wierszy są często zwierzęta, to one „personalizują się”, to znaczy są bardzo związane z naszym, ludzkim, rozumowaniem. Innymi słowy, to nie jest ot takie sobie ple-ple, a przekaz poznawczy i wychowawczy.

No, chce mi się cytować i cytować, bo wiem sam się świetnie bawiłem. Więc na koniec uraczę was jeszcze jednym cudnym wierszykiem: *Kaczor Duffy z kaczką Lolą / chcieli tworzyć Disco Polo / założyli więc kapelę / w każdy piątek i niedzielę, / na podwórku, pod czeresnią / zabawiali wszystkich pieśnią. // Duffy sam układał słowa / Lola była odlotowa, / wprawdzie nie grzeszyła słuchem, ale nadrabiała ruchem / ponoć dawniej, proszę pana, w rewii tańczyła kaczana. // Mieli także menadżera, / stary gąsior, straszna sknera, / lecz załatwił kontrakt duży / na piosenkę o podróży. / Może to być podróż taka / jak stąd do tamtego krzaka? / Duffy spytał o to Burka, / sam nie ruszał się z podwórka, / nigdy dalej niż do brzozy / a coś przecież musi tworzyć. // Burek – bardzo mądra głowa, / mądra, bo wielorasowa: / Po co coś daleko szukać / podróż można odbyć tutaj / mamy pola, las, jezioro / i atrakcji innych sporo. // Tak oto za sprawą burka / powstał przebój „Kacza Górka”.*

PS. Anetko, mogłabyś mi dać telefon do tej Loli?



Aneta Kolańczyk, *takie sobie bajeczki*, Stowarzyszenie Promocji Sztuki „Łyżka Mleka”, Kalisz 2018, s. 80

Aneta Kolańczyk

O lwim pazurze

Wiosną, pewnego razu, znalazła mysz lwiego pazur. Zaraz zrobię kotom burę, bo ja jestem mysz z pazurem! Zrobię im też kotołapkę, gdy już wpadnie kot w pułapkę, to odwróć go ogonem na tę przyjemniejszą stronę. Myszką kotu nosa utrże, po czym zaśnie w męskim futrze.

Andrzej Krzysztof Torbus

Nie ma powrotu do Tylicza

nie ma powrotu do Tylicza
bogowie nam umarli wszyscy
gór ciszę intruz czas zakrzyczał
miłości deszcz rzęsisty zniszczył

pozarastały ślady ścieżek
na popiół wyschły traw strumyki
poczochnął chmury wiatru grzebień
wilk nie ucieka dziś przed nikim

omszały mędrca przygniótł kamień
a carskich wrót spróchniało drewno
wywiało z ksiąg pożółkłych pamięć
i nie wiadomo nic na pewno

nie ma powrotu do Tylicza
na stypę wybrać się już pora
jak długo można się zachwycać
ułomnym światem Nikifora?

Pierwszy śnieg

pierwszy śnieg opadł na chodniki ulic
zmienił się w krople deszczowego błota
na drzewach tylko pozostawił dłużej odgłos
co drzemał w niespokojnych krokach

tak lekko opadł tak się dziwnie zmieszał
z gwarem śródmieścia i z zaułków ciszą
jakby to w leśnych umiał spotkać tropach
jakąś na korze sierść zgubioną lisią

mrok kryje dachy i lampy kołysze
ludzie zmęczeni do swych spieszą domów
a w lesie pewnie da się znowu słyszeć
jak wiatr przecieka w ciężkie listki szronu

Sad zimowy

zasnął wiśniowy sad
na gałęzie szron spadł
zamyślane alejką szły
otulone mgłą siostry trzy

liśćmi szeleścił wiatr
pewnie im znów coś skradł
skąd wracały i dokąd szły
wycierając ukradkiem łzy?

mało jest takich sióstr
w pocałunkach strwożonych ust
można znaleźć w nich gorycz i żar
niewyznanych nikomu skarg

później sad kopny pokrył śnieg
srebrne sanie ruszyły w bieg
a spod kopyt tryskały skry

w saniach mknęły w dal siostry trzy

dotąd słyszę stłumiony dźwięk
jakby kryształ ich głosów pękł
gdyż w milczeniu ukryty jest sens
zamazanych obrazów spod rzęs

co się z nimi stało? gdzie są?
może Newa pokryła je krą
może płaczą po nich w cerkwi
ikony może ktoś jedną łzę choć uronił?

Ballada o życiu

życie bez przerwy gra komedię
i z prostych się naśmiewa ludzi
przy nim to teatr nawet blednie
i nikt się na śmierć nie zaudzi

już było takich wielu którzy
chcieli je okpić i oszukać
na szczęście ono żyje dłużej
bo żyć najdłużej to jest sztuka

i co ważniejsze zawsze górą
wygrać potrafi każdą rundę
nie liczy się dla niego urząd
to co trwa krócej niż sekundę

to fakt że często skomli skuczy
i żyć nie może bez ironii
ale gdy ktoś się go nauczył
to już nie może w piętce gonąć

miewa upadki miewa wloty
lecz wciąż urodą swą urzeka
chociaż pamiętać trzeba o tym
że z każdą chwilą nam ucieka

* * *

A stąd do domu tak daleko
księżyc się w morze patrzy z troską.
Sierpień wędruje Drogą Mleczną,
a ja o Tobie myślę – Polsko.

Czy jeszcze wszyscy są przy stole
i razem jedzą chleb powszedni?
Zakłęty w muszli smutku - odleć!
Są przecież godni - chociaż biedni.

I mają w sobie nadto siły,
i nie zginęli przecież jeszcze.
Choć różne wiatry ich gonily
I opuszczało czasem szczęście.

Spadają gwiazdy... czy sputniki?
Światy się kończą, noc umyka.
Przywiozę garstkę słonej wody.
Gorzką pamiętkę z Atlantyku.

(Portugalia nad Atlantykiem, okolice Sagres, VIII, 1985)

Poeci

w szare godziny życia
poeci
przechodzą na drugą stronę rzeki

zostają po nich

nie napisane wiersze
i kobiety
którym nie zdążyli
wszystkiego wyznać

ich świat
zbudowany z atomów iluzji
rozpada się
wraz z pierwszymi nitkami
babiego lata

Oda do poezji

Kto cię z kim spłodził? Co za błazen?
Na rozkaz kogo? W jakiej chwili?
W czym imieniu? Jakim prawem
cynizm ci wszczepił i nihilizm?

Z czyjej to piersi ssałaś mleko?
W żyłach krew jakiej barwy nosisz?
Jesteś osiłkiem czy kaleką?
Tanią rozrywką dla dorosłych?

Swoim istnieniem ludzi drażnisz
blichtr proponując im i pozór.
Wymyśle chorej wyobraźni.
Samarytanko bez honoru.

Pałę Kraków

*Ci ludzie, co stoją w Krakowie wysoko,
po większej części to są lalki i manekiny,
które same nic nie umieją,
więc wyrabia się u takich ludzi
naturalna zazdrość do tych wszystkich,
którzy coś potrafią.
Ja już mam tych manekinów dosyć.
Manekiny nie przeszkodzą mi w niczym,
ale mogą tylko opóźnić, co chcę... (...)
Czekam cierpliwie.*

Stanisław Wyspiański

Przepraszam cię Historio,
że żyję i mieszkam
w mieście co się rozsiało
jak kury na grzędzie.
Co nie daje spokoju,
do którego wracam,
które nigdy nie skłoni się
byle przybłędzie.

Przepraszam cię Historio,
nie czekam na względy,
wszak miasto tchnie stęchlizną
pomimo, herbarzy.
Tu się dziury tradycji
zatyka tradycją,
tu się winy niedoszłe
czapką błazna waży.

Przepraszam cię Historio,
za tu i za teraz,
za krew nie przelaną,
ognia trumnę ciasną,
za radość, gdy pomyśle,
że najwyżej stracę
pomnik,
który oszpecić
mógłby znów to miasto.

Mirosława Prywer

Pytania

W bezsenne noce
spoglądam w niebo bez chmur
migocące gwiazdami
nieważne jaki miesiąc
panuje na Ziemi
Czasem nieboskłon przecinają
ukośnie świecące znaki
Zbliżają się do mnie
jeszcze chwila a poznam
tajemnice Kosmosu

Rano szukam w Internecie
Czytam-
to cząstki materii
wdzierają się
do naszej atmosfery
może pochodzą
od dawno
rozproszonej komety

Gdzie jest ich źródło
głowią się uczeni
znajdują powiązania
nadają piękne imiona
jakby to były żywe istoty:
sierpniowe Perseidy
listopadowe Leonidy
wiosenne Lirydy
czy Akwarydy pochodne
Komety Halleya

Drażę temat w kolejnych dniach
stawiam sobie pytania
ciągle bez odpowiedzi

Mikrokosmos

1.

Dawniej filozof nazywał tak świat człowieka
przeciwstawiony ciałom niebieskim

Biolog do mikrokosmosu zalicza
drobnoustroje obserwowane pod szkiełkiem
odróżnia go od świata owadów
widzianych gołym okiem

Dla fizyka mikroświatem są cząstki
o rozmiarach niewiększych od atomów
cząstki elementarne lub ich związki –
jądra atomowe

2.

Wiruję wraz z Ziemią wokół Słońca
piętrzą się tajemnice
świat opisywany przez biologów
zadziwia mnie
nauczyłam się w nim być
choć drobiną pod szkiełkiem
mogą głosić śmierć

3.

Największe niespodzianki
niosą mikrocząstki

Ich świat jest inny
nie zachowuje się jak
otaczająca nas rzeczywistość

Zadaję sobie pytanie
czy potwierdzono istnienie
cząstki elementarnej –
bozonu Higgsa
nazywanej Boską cząstką
Ona miałaby powodować łączenie
pojedynczych atomów w materię
wyjaśnić jak powstał Wszechświat.

Ataki na Ziemię

Ślady meteorów
znaczone na niebie
niosą zamyślenie
czy to atak na Ziemię
czy przyciąga ona
różne śmieci z Kosmosu

Dobrze spisuje się
nasza atmosfera
jak matka czule
otula nasz glob

Małe ziarenka materii
wyparują z niej
większe tylko rysują
świetne ślady
Nawet Leonidy wysłane
przez Lwi pazur
z wielką prędkością
nie zadrasną
ziemskiej skorupy

Tylko wielkie bolidy
uderzą w powierzchnię
mogą nawet wyryć
głęboki krater i
nieść spustoszenie

Niektóre wielkie gązdy
pędzą przez atmosferę
jawiąc się jak kule
świecące nawet w dzień
jaśniej od Księżycy
ryczą wtedy głośno
pewne zwycięstwa

Czy atmosfera
zatrzyma taką napaść

Łzy Świętego Wawrzyńca

1.

Płacze niebo
w nocie sierpniowe
po męczeńskiej śmierci
Świętego

Jego łzy
wsiąkają w atmosferę

a ludzie mówią
że to spadają gwiazdy

Gdy ujrzysz świetlną strzałę
na ciemnym nieboskłonie
pomyśl życzenie
spełni się zanim światło
dotrze do ziemi

2.

Pamiętam ciepłą noc
w ogrodzie mamy
gdy deszcz Perseidów
rozjaśnił niebo
Pomyślałam -
przyjdiesz do mnie jutro

i przysłaś

3.

W noc Perseidów
do kaplicy na szczycie Śnieżki
schodzą się sudeccy
przewodnicy i ratownicy
ze szlaków widzialnych
i niewidzialnych
zwołuje ich patron
Święty Wawrzyniec

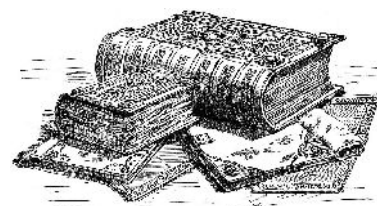
Meteoryt Morasko

Przed tysiącami lat
na poznańską ziemię
spadł deszcz meteorytów
Niektóre znikły w głębi
inne wyryły przepastne kratery
możesz je dotknąć
nawet zmierzyć

Nie znajdziesz innego miasta
z kraterową dekoracją
choć na świecie
takich śladów
ze dwieście

Żelazne meteoryty
nie na zawsze
schowały się pod ziemią
namierzone wykrywaczem metalu
wykopano
oczyszczono
i największy w Polsce
cieszy poznaniaków

Rezerwat przyrody
z kosmicznym aspektem
połączony z grądem
to perła Poznania
o nazwie
Meteoryt Morasko



Marek Wawrzkiwicz

Nasz niepowtarzalny, polski patriotyzm (2)

W naszym pojęciu zrobiliśmy dla świata – w dalszej i bliższej przeszłości – wystarczająco wiele, aby teraz spokojnie oczekiwać, że świat nam za to hojnie odpłaci. Ale świat płaci niechętnie i za świadczenia wystawia rachunki. W „Sprawach ludzkich” profesora Jana Szczepańskiego przeczytałem spostrzeżenie sprzed blisko 30 lat, aktualne i dziś:

...każdy zamożny naród powtarza po prostu: to, co mamy, zdobywaliśmy naszą rozwagą, pracowitością, pomysłowością, organizacją, niech więc inni też pracują lepiej, lepiej wykorzystują swoją ziemię, lepiej hodują bydło, a też będą mieli tyle samo, ile my mamy. Dlaczego mamy się dzielić owocami naszej ciężkiej pracy z leniuchami, którzy nie chcą i nie umieją pracować? Toteż w salach konferencyjnych składane są humanitarne deklaracje, a w parlamentach są już znacznie ostrożniejsze”.

Nie ulega wątpliwości, że w ostatnich latach, w niektórych dziedzinach życia społecznego staliśmy się bardziej racjonalni. Ale racjonalizm ten w przedziwny sposób koegzystuje w meksjanistycznym, irracjonalnym widzeniu świata i roli, której w nim odgrywamy. Żyjemy prawdopodobnie w epoce nie tyle zmierzchu autorytetów, ile w ich nadmiarze. Przyjmujemy jako dogmat i prawdę objawioną sąd wypowiedziany wczoraj, ale pod naporem dzisiejszych faktów ulega on dyskwalifikacji. Wolę więc powoływać się na diagnozy postawione znacznie wcześniej, bo, o dziwo, nie straciły one ani na aktualności, ani na trafności. Dotyczą one również polskiego patriotyzmu.

Lat temu kilkanaście wstrząsnął mną wynik badania opinii publicznej dotyczący stosunku młodszych pokoleń do własnego kraju; myślę, że niewiele w tej mierze się zmieniło. Na pytanie o gotowość do obrony kraju w wypadku najazdu agresora tylko nieznaczny procent młodych ludzi odpowiedział, że bez wahania chwyciłby za broń. Przeróżająca większość w takiej sytuacji „wyjechałaby za granicę”. Nie pytam za jaką granicę, w jaki sposób i nie zamierzam znęcać się nad naiwnością takiej świadomości. Zwracam tylko uwagę na współczesne działania: pochodzący z przeszłości pomysł wychowania nowego pokolenia partyzantów przez tworzenie wojsk obrony terytorialnej, jest czymś, co harmonijnie wpisuje się w naszą ukształtowaną historycznie świadomość. Widać ciągle w nas drzemie tęsknota do grotgerowskich pejzaży powstańczo partyzanckich, ale tęsknota ta podniesiona do rangi strategii państwa jest po prostu aberacją.

Warto chyba zastanowić się nad polskimi zachowaniami wobec świata, wobec narodów, które żyją w mniej kłopotliwym i absorbującym sąsiedztwie. Otóż nasz stosunek do świata zewnętrznego jest równie niekonsekwentny jak nasza własna samoocena. Wynika to po części z tego, co psychologowie określają jako „wzmózione samopoczucie”, czyli, inaczej mówiąc z polocentrycznego widzenia świata. Jesteśmy chyba przekonani, że świat przygląda się nam z naprężoną uwagą. Wczoraj jawił się nam jako nasz niewypłacalny dłużnik. Kiedyś łaknęliśmy akceptacji, dziś też za nią tęsknimy, ale ponieważ zagranica uznania skąpi, a wprost przeciwnie wystawia nam surowe oceny, to część społeczeństwa poddana indokrynacji oficjalnej propagandy woli uważać, że jesteśmy otoczeni wrogami, którzy nie są w stanie pojąć naszej wielkości. Wszyscy się mylą, tylko my mamy rację.

Zniewolenie przeszłością owocuje ruchem wstecznym. Romantyczny czad, który w znacznej mierze ukształtował naszą psychikę narodową nie wywietrzył do dziś. Warto jeszcze raz przypomnieć Aleksandra Bocheńskiego:

Psychologia polska rozbudzona epoką Legionów – cudownego odzyskania niepodległości – potem przybita upadkiem powstania zaczyna oddalać się od wszelkiego myślenia, pada łupem psychozy zbiorowej, którą nazwano „mesjanizmem”. Polacy wierzą głęboko, że ich naród jest Chrystusem narodów, że cierpi niewinnie za inne ludy, że im więcej cierpi, tym lepiej... Najwięksi polscy poeci: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, hołdują częściowo tej aberacji. W tzw. polityce historycznej – niczym nowym, ale na nowo sformułowanej i mającej co innego znaczyć – ciągle mieści się teoria o wyjątkowości, wzniosłości i niezmiernym rodowodzie polskiego losu. Z trudem daje się to znieść, kiedy pojawia się na kartach historii literatury, ale kiedy zaczyna być używana do wyjaśniania dziejów narodu, musi być uważana za zбочzenie umysłowe. I dawniej i dziś spuścizna romantyczna traktowana jest nie jako wielka epoka literacka, a jako rodzaj ewangelii narodowej. Być może z niej wywodzą się współczesne poczynania: wszystko, co było przed kilkudziesięciu i kilkunastoma laty uznajemy za czas całkowicie zmarnowany. Historię piszemy na nowo i zaczyna się od dziś: z właściwą sobie bezkompromisowością obalamy niesłuszne pomniki, wrywamy z murów tablice. Zastępy opaczanych przez państwo myśliwych zapuszczają się w matczyniki minionych okresów i urządzają

polowania na sprawców dzisiejszych bied. Czarownica płonąca na stosie w pogodny wieczór jest prawdopodobnie obrazem miłym dla ludzi o szczególnym poczuciu estetyki, ale poza satysfakcją dla pewnych grup niewiele z tego pożytku wynika. Tworzą się nowe mity: gaz łzawiący stanu wojennego i walki na kamienie z ZOMO jeszcze nie tak dawno porównywano do Powstania Warszawskiego. Walka – to coś, co w życiu narodu stawiamy najwyżej, dychotomia romantyzmu i pozytywizmu obowiązuje do dziś i ciągle jeszcze ten pierwszy jest w cenie. 30 lat temu we „Wszystko inaczej” Stefan Kisielewski zauważył:

...terror narodowej tradycji edukacyjnej jest tak silny, że ulegli mu nawet komuniści. Mając w ręku wszelkie środki urabiania duszy i przemieniania wstecz historii, przyjęli jednak jedyną chwytającą tu za serce koncepcję bohaterską i straceńczą, tyle, że umiścili ją pod Lenino, a nie pod Monte Cassino – tę drugą bitwę też musieli w końcu ułaskawić.

Monte Cassino widziane jest jako ołtarz ofiarny tych co „szli i ginęli”, a nie jako przykład przemysłanej, choć może nie pozbawionej elementów straceńczych, strategii operacji wojennej. W innej, „komunistycznej” legendzie niewielka bitwa pod Lenino urosła do rangi Grunwaldu. A zniszczono w niej 9 nieprzyjacielskich czołgów, zabito ok. 1500 żołnierzy przeciwnika, wzięto do niewoli 300. Z poczuciem niejakiego zawodu dowiadujemy się, że zginęło tam „zaledwie” 502 żołnierzy polskich i trzy razy tyle radzieckich. Legendę nowego bohaterstwa oparto na starym szablonie. Ale też na naszym umiłowaniu bohaterstwa i męczeństwa. I sporo wierszy o tym Grunwaldzie powstało. Wierszy jak spiz dźwięczących.

Dawno temu profesor Artur Sandauer (jak szybko zapominamy wybitne postaci!) powiedział mi w jaki sposób buduje się u nas wielkość poety. Stwierdził mianowicie, że kocha się poetów „zabitych albo zapitych”. Rzeczywiście, istnieje swoisty areopag poetycki tych, którzy swoje tragiczne wizje potwierdzili tragicznym zwieńczeniem życia: kiedy umarli młodo, popełnili samobójstwo lub sięgnęli do dna ludzkiej egzystencji. Ciągłe żyją legendy „kaskaderów literatury” – Stachury, Wojaczka, Bruno Milczewskiego, Bursy, Ratonia. Niektórym z nich nie twórczość, a śmierć nadała rangę wybitności. Takie hierarchie mogą powstawać tylko w określonej aurze społecznej, w uwielbieniu nieszczęścia i męczeństwa. Nawet to wyrasta z korzeni historii. Jeszcze raz Aleksander Bo-

cheński, który w „Rzeczy o psychice narodu” pisał:

Wytworzyła się nowa postawa psychiczna, nowy model Polaka romantyka i niepodległościowca. Przyniósł on nam powstania 1830 i 1863 i upadek, skutkiem tych powstań, zarówno własnej państwowości jak i nadziei na jej odbudowanie.

Polska historia roi się od straceńczych generałów, ma zaś w pogardzie tych dowódców czy przywódców, którzy licząc siły i nie decydując się na beznadziejne szarże odlewali ostateczną klęskę. Stawia bohaterów, którzy swym szaleństwem ścigali na nas nieszczęścia, zdrajcami zaś nazywa tych, którzy nie sprzeciwiając się niepodległościowym dążeniom wzywali do rozwagi i wyczekiwania na lepszą sposobność. Historia pamięta o generale Ignacym Prądzyńskim, trzydniowym wodzem naczelnym Powstania Listopadowego, ale zapomniała mu, że był projektantem i budowniczym Kanału Augustowskiego.

Nawołując do racjonalizmu i do pozbawionego emocji spojrzenia na zawinioną przez nas samych niefortunną naszą losów, sam, być może, ulegam starej polskiej chorobie, która polega na niemożliwości odczytania i oceny teraźniejszości bez spojrzenia na nią przez pryzmat historii. Zdaje mi się jednak, że obecnie często natykamy się na instrumentalne jej traktowanie, na uwznioślanie idei i okresów nieprzydatnych w rzeczywistości, pomijanie zaś i lekceważenie tych wartości z naszych dziejów, które mogą być pomocne w rozwiązywaniu aktualnych problemów.

W roku 1949 w liście do Józefa Wittlina Jerzy Giedrojc pisał tak:

Właściwie to jest straszny naród ci Polacy. Lecz jakie jest wyjście? Albo ten naród zmienić i odejść od niego zupełnie, albo starać się przy całej beznadziejności walki walczyć, by był inny. Wybrałem tę drugą drogę. Ale ta druga droga wymaga dużej pobłażliwości dla ludzi. To nie jest pesymizm.

Nie było tak dobrze, jak to się nam dzisiaj wprawia. Ani w Rzeczypospolitej Dwojga Narodów, która była państwem narodów wielu. Ani w II Rzeczypospolitej, pełnej „rachunku krzywd” również narodowych. A dziś jesteśmy jednolici etnicznie, ale walczymy z naszymi Żydami, których nie ma, upatrujemy zagrożenie ze strony mniejszości niemieckiej, pogardliwie traktujemy żyjących w naszych granicach Białorusinów i Ukraińców, Ślązaków podejrzewamy, że są V kolumną. Ponieważ są to wrogowie w gruncie rzeczy mało groźni, musimy tych najgroźniejszych poszukać we własnym gronie. I podzieliliśmy się na plemiona: „Prawdziwych Polaków” i „gorszych polaków”, pisanych z małej litery. Plemiona te posługują się językiem polskim, ale on ich nie łączy, a dzieli. Inaczej rozumiemy słowa podstawowe: wolność, równość (nie wspominam o braterstwie), kompromis, tolerancja, prawo, sprawiedliwość. Chciałbym być optymistą. Chciałbym, aby powróciła jednoznaczność słów.

Marek Wawrzkiwicz



Nie tylko o świecach, lampach oliwnych i innych

Oszczędność panuje w niebie;
zgaszono wszystkie świece.

William Szekspir, *Makbet*.

W pierwszym tomie *Dziennika* Jana Józefa Szczepańskiego, wśród notatek dotyczących 1946 r., pod datą: 19 września, natknąłem się m. in. na takie oto zdania:

Po kolacji jeszcze godzinę piszę i o 9-tej kładę się do łóżka. Zwykle jeszcze do 10-tej czytam. O 10-tej gaszę świece.

W tym konkretnym przypadku używanie świec nie było wynikiem mody (cóż to zresztą miałyby być za moda rok po zakończeniu wojny), ani problemów z dopływem energii elektrycznej. Inaczej po prostu być nie mogło, skoro do Kasinki Małej, gdzie autor *Dziennika* miał dom wiejski, elektryczność doprowadzono dopiero w 1957 roku.

W jednym z późniejszych swych zapisków Jan J. Szczepański wspomina, że spędziwszy w Kasince dwa pierwsze tygodnie urlopu, oprócz tego, że napisał dwa krótkie rozdziały powieści (*Polska jesień*) i przeczytał dwie książki, wykonał także „do domu rozmaitych świeczników”.

Zdanie mówiące o gaszeniu świecy, zaintrygowało mnie bardzo, wręcz sprowokowało do podjęcia próby przeniesienia się w wyobraźni do czasów minionych. A jedną z ich cech charakterystycznych była rzadkość źródeł sztucznego światła. Rzadkość, jeśli weźmie się pod uwagę ich współczesną nadobecność w niektórych miejscach, szczególnie w wielkich miastach. Co jest wynikiem m. in. wszechobecności kontaktów, przy których użyciu, w bardzo prosty sposób, powoduje się rozbłyśnięcie światła. Kiedy natomiast chcemy skorzystać ze świecy lub lampy naftowej (takie sytuacje mają niekiedy nadal miejsce) musimy wykonać nieco więcej czynności. Lecz to, czy dadzą one światło zależy od nas, jest wręcz w naszych rękach. Zapalenie świecy czy włączenie lampy naftowej, to jedno, baczenie zaś na nie, ze względów bezpieczeństwa, to drugie. Z obu tych punktów wynika jednak to, że człowiek korzystający z tych źródeł oświetlenia, może uważać się za pana/panią światła. Stoi bowiem za jego początkiem, jak i za końcem. Jeśli ktoś uzna to wyrażenie za uczynione na wyrost, a może i za nieadekwatne, niech w takim razie powie, kim wobec tego jest człowiek, który dla rozświetlenia jakiegoś pomieszczenia, korzysta jedynie z palca, doty-

kając nim przycisku w kontakcie? Według mnie nie ma on, choćby znamion takiej władzy. Jeśli wydaje mu się, że jest inaczej, to bardzo się myli. Jest bowiem jedynie odbiorcą prądu elektrycznego zużywanego w urządzeniach (nie tylko tych oświetleniowych), których jest właścicielem. Zaś jego rola, tak naprawdę, sprowadza się do obsługi owych kontaktów, przycisków. Jak również do płacenia rachunków. Lampy elektryczne i gazowe są bowiem jedynie końcówkami sieci elektrycznych lub gazowych. A w takim układzie człowiek spełnia wspomnianą rolę operatora odpowiednich przycisków. Natomiast na inne etapy procesu, którego końcowym efektem jest świecąca lampa, nie ma już żadnego wpływu. Pieczęć nad nimi sprawują wielkie firmy i rządy państw.

Na miano lamp, oprócz tych, które były wypełnione tłuszczem zwierzęcym, jak też tych wykorzystujących oliwę, zasługują jeszcze jedynie lampy naftowe, acetylenowe („karbidówki”) i bateryjne. Także w ich obsłudze przejawiała się swoista samodzielność, a także niezależność człowieka. Od niego bowiem zależało czy te bardzo proste, czy też nieco bardziej skomplikowane urządzenia staną się źródłem światła, jak również jak długo będą pełnić tę rolę.

Wrażenie spowodowane wspomnianą wzmianką w *Dzienniku* autorstwa Jana J. Szczepańskiego było tak silne, że poświęciłem sporo czasu na zaznajomienie się z tematyką oświetleniową, zarówno jeśli chodzi o historię rozmaitych urządzeń będących źródłem światła, znalezienie wzmianek o nich w literaturze pięknej, jak również informacji na temat wierzeń, mitów, obyczajów dotyczących roli światła w życiu człowieka na przestrzeni jego dziejów. Również wiele czasu poświęciłem na pisanie niniejszego szkicu. A wszystko to dlatego, że przeczytałem zdanie: „O 10-tej gaszę świece”.

Światło, którego źródło stanowi lampa naftowa bądź świeczka, jest światłem, że tak powiem, osobistym. Mam na uwadze szczególnie sytuację, gdy z jego wykorzystaniem odbywa się czytanie, albo pisanie. Krąg jasności jaki daje lampa lub świeczka, szczególnie jednak ta druga, jest bowiem niewielki. W związku z tym nawet elementy najbliższego otoczenia pozostają w półmroku, który bardzo szybko przechodzi w mrok. To zaś sprawia, iż osoba czytająca lub pisząca, nie jest rozpraszana przez otaczające ją przedmioty czy też domowników (także wtedy, kiedy zachowują się oni cicho). A to z pewnością jest okolicznością jak najbardziej pożądaną – sprzyja skupieniu. Elektryczna lampa biurowa tylko pozornie daje podobny efekt. Jej światło jest o wiele intensywniejsze od tego, z którego korzystali nasi przodkowie. Jest go też po prostu więcej. Literę, te czytane jak i pisane, widzi się dzięki temu lepiej. Efektem tego jest to, że wzrok mniej się męczy. Ale równocześnie owo mocniejsze światło zwraca uwagę na nazbyt wiele szczegółów otoczenia.

(Dokończenie na stronie 10)

W Grecji starożytnej ten kto zapalał lub wnosił do pomieszczenia źródło światła, mówił: *Fōs agathōn!* (Dobrego światła!). Na co odpowiadano: *Chaire fōs!* (Witaj, światło!). Takie podejście do światła sztucznego w czasach współczesnych, przy jego dostępności, łatwości korzystania z niego, byłoby czymś zupełnie niezrozumiałym. Niewątpliwie też wywołałoby zdziwienie bądź pojawienie się na ustach ironicznego uśmiechu. Zdecydowanie inaczej jest jednak, kiedy światła (z rozmaitych przyczyn) zabraknie. A pozostawanie w ciemnościach będzie się przedłużało. Wtedy nie tylko zostaną przywrócone do łask świece, ale świat jasności zyska swą naturalną przeciwwagę – świat ciemności. Okaże się wówczas, że niekiedy, aby Coś zobaczyć niezbędna jest ciemność. A owe światy: jasności i ciemności nie mogą istnieć bez siebie, uzupełniają się. Jeden stanowi bowiem dla drugiego tło, na którym jest on po prostu widoczny. Stanowią przy tym idealny przykład dualizmu. Przy czym światło i ciemność mogą symbolizować dwa odrębne i niezależne od siebie pierwiastki: ducha i materię, dobro i zło, duszę i ciało. Jeśli chodzi o pierwszy z wymienionych przykładów dualizmu, to warto odnotować, iż paląca się świeca uosabia wyższość ducha nad materią. Płomień unicestwia bowiem wosk.

Zapalona świeca niewątpliwie jest bardziej nastrojowa od, na przykład, lampy karbidowej, jak też gazowej czy elektrycznej. Mało tego, że jest bardziej nastrojowa – ona po prostu uosabia nastrój rozmarzenia. A nieoceniony Władysław Kopaliński w *Słowniku symboli* podaje, że świeca symbolizuje „światło, białość, kult ognia, gwiazdę; ofiarę, miłość, sakrament, pamięć o zmarłych, kult zmarłych, pobożność, oczyszczenie; życie, duszę, ducha, pracę umysłową, zapytanie; czas, przemijanie, nietrwałość, samozniszczenie”*. Natomiast „lampa (zapalona) symbolizuje światło, Słońce, ogień, oświecenie; ochronę, azyl; życie, czujność, obecność bóstwa; ducha, duszę; prawdę; szacunek; rozum, mądrość, inteligencję, przewodnika; wieczność; nadzieję; miłość; piękno; miłosierdzie, ofiarność, poświęcenie się; pobożność, aktywność religijną, wizję, czystość, dziewictwo”. Zaś „lampa zgaszona symbolizuje śmierć, rozpacz, przekleństwo”.

Świeca była, ale i nadal jest obecna w symbolice religijnej. Jak chociażby w chrześcijaństwie, gdzie (zapalona) uosabia m. in. „nadejście albo zmartwychwstanie Chrystusa”, a także – ofiarę wotywną „dla Najświętszej Marii Panny”, świętych, zmarłych.

Jeśli chodzi o lampy zużywające tłuszcze roślinne i zwierzęce, jak też o świece, ważna jest kwestia czasu. Ale czasu w odniesieniu do dziejów techniki. Przy czym dziesiątków wieków rozświetlanych (to fakt, że lichy) wspomnianymi bardzo prostymi urządzeniami, nijak nie można porównywać z dwoma ostatnimi stuleciami. Dwoma ostatnimi, albowiem pierwsza lampa gazowa została skonstruowana w 1792 roku. Trzy lata później oświetlenie gazowe zostało użyte w

większych pomieszczeniach, konkretnie – w zakładach produkcji silników parowych w Socho pod Londynem. Natomiast oświetlenie elektryczne, otrzymane dzięki lampom ługowym (prototyp zaprezentowano w 1843 roku), po raz pierwszy wykorzystano w 1848 roku w Paryżu do oświetlania wystaw.

Ale mając na uwadze czas przed 1792 roku, należy brać pod uwagę przeogromne morze mroku, jedynie w pewnych miejscach upstrzonego drobnymi iskierkami światła. O owej znikomości źródeł sztucznego światła należy zresztą mówić nie tylko w odniesieniu do chłopskich chat, ale też np. skryptoriów klasztornych w okresie średniowiecza. A pomieszczenia, w których pracowali mniszkiopisci („wydajność ich pracy wynosiła 3, 5, 6 kart dziennie, formatu *in quarto*”**) były miejscami, gdzie światło sztuczne było bardzo potrzebne, choć starano się jak najbardziej wykorzystać to naturalne. Z zapisków klasztornych wiemy, jak skromne było oświetlenie skryptoriów: „lampki oliwne albo świeczki z bawełnianym knotem”***. Także na tę kwestię zwraca uwagę średniowieczny anonimowy kopista. Otóż na jednej ze stron przepisanej przez siebie kodeksu, odnotował następującą prośbę:

*Zacni czytelnicy, którzy posłużycie się tą pracą, pamiętajcie, proszę, o tym, który ją skopiował: był to ubogi brat... było mu zimno; i ukończył w nocy to, czego nie zdążył przepisać w dziennym świetle****.*

W czasach, gdy nieco światła dawały tylko świece i rozmaite lampki, zło miało, aż nadto miejsca w ciemnościach, aby się zacić. To było bowiem jego, można tak powiedzieć, środowisko naturalne. Sytuacja w tym względzie zaczęła diametralnie się zmieniać, gdy coraz większe połacie Ziemi zaczęły jaśnieć nocą. Mroku bowiem ubywało. W rezultacie czego, coraz więcej zła zaczęło być widoczne w świetle sztucznym. Tym bardziej, że mimo upływu czasu, zła (najprawdopodobniej) nie jest mniej (czy jest go więcej, to już kwestia nie należąca do tematu tego tekstu).

Jak wspomniałem, świeca m. in. symbolizuje życie, przede wszystkim życie człowieka. I póki się pali – ono trwa. Ale jej ogień, podobnie jak rozgrzany kłosz różnych lamp, przynosi często śmierć rozmaitym owadom przywabionym przez światło; zwłaszcza ćmom, czyli nocnym motyloom. Jest o tym mowa np. w wierszu Jana Andrzeja Morsztyna *Do motyla*:

*Lekko, motylu! Ogień to szkodliwy!
Strzeż się tej świecy i tej jasnej twarzy,
W której się skrycie śmierć ozdobna żarzy,
I nie bądź swego męczeństwa tak chciwy.*

A motyl, szczególnie jednak ćma, uosabia z jednej strony lekkomyślność, brak wyobraźni, z drugiej – mistyczną, ofiarną, bezinteresowną miłość duszy, to znaczy owego owada, do światła. Światło zaś to Bóg. Miej więc i to na uwadze, szanowny czytelniku. Nie szukaj jednak Boga, kiedy znajdziesz się

na obficie oświetlonym bulwarze bądź skrzyżowaniu. O nie! Pozostaw to na tę chwilę, gdy ujrysz pojedynczą, palącą się w mroku świecę.

Dariusz Pawlicki

* Ten cytat, jak i pozostałe dotyczące symboliki lampy, światła i świece, pochodzą z: Władysław Kopaliński, *Słownik symboli*. Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa 2006.

** Léo Moulin, *Życie codzienne zakonników w średniowieczu*, przeł. Eligia Bąkowska: PIW, Warszawa 1986.

*** Tamże.

**** Tamże.

O Edwardzie Szymańskim w 75. rocznicę śmierci

11 listopada 2018 roku byłem na odsłonięciu pomnika Ignacego Daszyńskiego na Rozdrożu, z udziałem m.in. prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, wicepremiera i ministra Piotra Glińskiego, przedstawiciela Kancelarii Prezydenta Wojciecha Kolarskiego i wielu innych znakomitych gości. Powodów mojej tam obecności jest wiele. Doceniam oratorski kunszt Daszyńskiego, z zainteresowaniem czytałem jego *Pamiętniki*, ponadto urodziłem się i mieszkałem długie lata przy ulicy Daszyńskiego; poznałem także przedwojennego pepeesowca, Władysława Świńskiego, który osobiście znał tego człowieka działacza PPS, m.in. posła i marszałka Sejmu II RP.

Ale ja nie o tym. W czasie uroczystości rozdawano gazetkę (jednodniówkę) „Daszyńiówkę” w której odnalazłem trzy piękne wiersze... Edwarda Szymańskiego (*Niepodległość, Trzy strofy, Słowo o Ojczyźnie*), dla jednych to „komuch”, „komunista”, dla innych poeta, tłumacz Lukrecjusza, przyjaciel Gałczyńskiego. Jakże raczej przeważają, niech osądzą czytelnicy.

Pamiętajmy o Edwardzie Szymańskim, gdyż 15 grudnia 2018 roku minęło 75 lat od jego męczeńskiej śmierci w KL Auschwitz. 75 lat temu przestało bić serce człowieka schorowanego, ciężko doświadczanego wojną, dla którego Niemcy nie mieli litości, podobnie jak dla milionów innych Polaków.

W 2017 roku obchodziliśmy 110. rocznicę Jego urodzin. Piszę: obchodziliśmy. I zastanawiam się kto też „obchodził”, kto współcześnie pamięta o tym poecie, który dał dzieciom wiele wspaniałych wierszy, ale przede wszystkim swoją twórczość poświęcił ludziom pracy, spółdzielcom, młodzieży. To o nich zawsze pamiętał, wierzył w nich, to im

podpowiadał strofy pełne nadziei. Nazywano go poetą proletariackim, rewolucyjnym, robotniczym. Ale cóż znaczą dziś te określenia? Klasy robotniczej prawie się pozbyliśmy, jest na marginesie, albo zgoła nieobecna w zażartych sporach, które toczą u nas pomiędzy sobą najważniejsze partie. Zajęte swoimi rozrachunkami, co rusz ogłaszają populistyczne hasła, ale tak naprawdę, co to ma wspólnego z troską o tych, którzy np. pracują „na kasach” w wielkich supermarketach, albo też obsługują wózki widłowe w potężnych hurtowniach? Nie obchodzą oni polityków, ale także tych, których usłużna krytyka nazywa „pisarzami”, „reżyserami”, „dramaturgami”. Nie będą rozwijał tego wątku, może przy innej okazji.

Edward Szymański urodził się 9 października 1907 roku na warszawskiej Woli. Od dzieciństwa rósł wśród ludzi o „twardych duszach i twardych dłoniach”. Dlatego od wczesnych lat związał się z ruchem socjalistycznym. Głęboko wierzył w to, co robił. Był zdolny, albo można rzec: fenomenalnie zdolny, utalentowany. Dlatego mimo trudnych warunków materialnych nie mógł nie zrobić matury, później studiował polonistykę. U dziecka z robotniczej Woli nie było to zwyczajne. Gdy jego rówieśnikom udało się uzyskać świadectwo dojrzałości szukali konkretnych zawodów, takich jak np. lekarz czy prawnik. Edward był humanistą, kimś zakochanym w słowie, w literaturze, namiętnie czytającym książki. Zapewne przeczuwał, że polonista to żaden chleb, podobnie jak pisanie wierszy, ale to było silniejsze od niego – pisanie, tworzenie. Wcześniej debiutował w prasie. Jego pierwszym tomikiem było 20 milionów wydane w 1932 roku prywatnym sumptem i szybko zakazane przez cenzurę. Czemu nie ma się co dziwić, kiedy czytamy w nim strofy *Jutro*, a może dziś, przestaniemy cierpieć i milczeć / dłonie zwiniemy w pięści i ławą runiemy w przód.

Od początku najbliższa była mu tematyka robotnicza. Nie mógł przecież „zdradzić” ojca, metalowca i starego działacza PPS. Jego matka pochodziła z zubożałej szlachty. Mieszkali przy ulicy Wolskiej 54, gdzie dziś na budynku znajduje się pamiątkowa tablica. Jest także na Woli park jego imienia, ostatnio pięknie odnowiony. Są szkoły jego imienia.

Edward nie był jedynakiem. Miał siostrę i brata. Od wczesnych lat jego edukacja związana była z takimi wydarzeniami, jak np. rewolucja 1905 roku. Zaczął naukę w „fabrycznej szkole powszechnej przy przędzalni”. Gdy rozpoczęła się pierwsza wojna światowa, w tym czasie zachorował na szkarlatynę. Leżał w szpitalu zakaźnym na Młynarskiej. A gdy do Warszawy weszli Niemcy wraz z rodziną przeniósł się do Komorowa pod Sochaczewem, do dziadków. To, co tam przeżył, pomogło mu stworzyć wiele utworów o chłopskim losie. W czasie I wojny ojca zabrano, jak tysiące innych Polaków, na roboty przymusowe do Niemiec. W tym miejscu warto przypomnieć mowę Ignacego Daszyńskiego w parlamencie austriackim, w której wskazywał on, że Niemcy „ponieważ nie mogli zrabować ziemi, więc postanowili ją uczynić bezwartościową i wywieźli z kraju do Niemiec 700 000 robotników, jak Murzy-

nów, jak niewolników. W najbardziej łotrowski sposób urządzano polowania na ludzi, dawano przedstawienia kinoteatru na wsi, abo ciekawą ludność napaść i wywieźć do Niemiec, aby ich potem w inseratach gazet, aby te biedne polskie dusze, tych niewolników odstępować temu, kto więcej zapłaci. W środku Europy, za cichą zgodą niemieckiej demokracji popełnia się tę zbrodnię masową”

Ojciec Edwarda miał szczęście, powrócił z niemieckiej niewoli. W 1918 roku spotkali się wszyscy ponownie.

Utalentowany i uzdolniony chłopiec zaczął naukę w Gimnazjum Zgromadzenia Kupców. Pasjonowała go łacina, już wówczas przymierzał się do tłumaczeń. W 1925 roku uzyskał świadectwo dojrzałości w III Gimnazjum Miejskim. O pracę nie było łatwo. Edward wyglądał krzepko, uścisk miał mocny, ale ze względu na chore serce nie mógł pracować fizycznie. Szukał więc m.in. współpracy z amatorskimi teatrykami TUR. Sławy autora szmoncesów nie zdobył. Poznał jednak np. wspaniałego przyjaciela Jana Dąbrowskiego, którego Zbigniew Mitzner nazywał „warszawskim Martinem Edenem”. Gdy Szymański zapisał się na studia, by móc płacić czesne, imał się przeróżnych zawodów. Pracował na poczcie, w drukarni, w redakcjach PPS-owskich pism. Musiał pogodzić owe zajęcia z udziałem w wykładach takich profesorów, jak Tadeusz Zieliński, Józef Ujejski czy Władysław Witwicki. Jednocześnie też coraz więcej pisał, publikując swoje teksty głównie w prasie robotniczej.

Lata kryzysu spowodowały, że Edward znalazł się na Lubelszczyźnie w charakterze mierniczego. Tam poznał swoją pierwszą żonę – nauczycielkę Marię Patryni, która niestety zmarła kilka miesięcy po ślubie. Wydany w 1933 roku tom poezji *Do mieszkańców Marsa* poświęcił zmarłej małżonce.

Szymański miał łatwość zaprzyjaźniania się z ludźmi. Henryk Ładosz wspominał, że kiedyś, po wieczorze poetyckim w klubie artystycznym „Polonia”, podszedł do niego młody człowiek i przedstawił się: „Szymańszczak jestem”. Ładosz, znakomity recytator, zapamiętał, iż „każdy zaszczycony uściskiem jego ręki wydawał nagły krzyk, wyrażający raczej ból niż zachwyt”. Dzięki tej znajomości Szymański miał kontakty z grupą poetycką „Kwadryga”, poznał wtedy m.in. Gałczyńskiego. Aleksander Maliszewski zapamiętał go wówczas jako „trybuna z twarzą cherubina i bicepsami atlety”.

Gdy wreszcie otrzymała stałą pracę w czasopiśmie „Przegląd Futrzarski i Kuśnierski” postanowił ożenić się z siostrą Ładosza, „czarnooką i czarnowłosą” Natką. Natalia jako Podlasianka, mimo stałych kłopotów finansowych, potrafiła stworzyć mu prawdziwy dom.

Urodziły się tak upragnione przez poetę dzieci, najpierw córka Ewa (1935), rok później syn Łukasz, co zmobilizowało go do kontaktów z Warszawską Spółdzielnią Mieszkaniową oraz z „Naszą Księgarnią”, która wydawała m.in. prasę dziecięcą, tam znalazło się, zwłaszcza w „Płomyku”, wiele jego pięknych wierszy dla dzieci, także opowiadania, czytanki i inscenizacje. W publika-

cji pomógł mu Henryk Ładosz. Dzięki tej prasie poznał Józefa Czechowicza i innych wspaniałych twórców dla małych czytelników. Efektem zainteresowania się nimi była książka ABC... wydana przez Związek Spółdzielni Spożywców „Społem”. Mało kto dziś wie, że autorem słów do walczyka Wyleciał ptaszek z Łobzowa jest właśnie Edward Szymański, któremu dopiero po wojnie opublikowano kilka ważnych książek z utworami dla najmłodszych. Wiele z nich było długie lata obecne w podręcznikach szkolnych dla klas I-VI. Do klasyki należy także jego wiersz pt. *Książka* zaczynający się od słów: Witam cię kartek szelestem, / Tytułem na pierwszej stronie, / witam! / Bo po to przecież jestem, / Żebyś mnie ujął w dłonie / I czytał...

A jeszcze wcześniej były publikacje m.in. na łamach nowo powstałego pisma satyrycznego „Szpilki”, wreszcie od 1935 roku owocna współpraca z tygodnikiem spółdzielczym „Spółnota”, co nie znaczy, że nie publikował gdzie indziej dytyrambów, satyr i fraszek, liryków osobistych, utworów dydaktycznych, bajek czy żartobliwych ballad, ód i parodii. Biograf napisał, iż „Dziś niektórym krytykom forma jego utworów może wydawać się niedbała czy mało wypieszczona. Wiersze Edwarda miały z założenia mieć taki charakter: chropawy, uderzający rytmem, mało stylizowany”. A jednocześnie poza wierszami „do prostego człowieka” całe lata pracował nad tłumaczeniem Lukrecjusza O naturze wszechrzeczy. I chociaż w 1936 roku uznał swoją pracę za zakończoną, to jeszcze w czasie wojny poprawiał metrum, szlifował styl. Ryszard Matuszewski ocenił, iż „Dał przekład czytelny, klarowny, urzekający giętkością i pięknem języka”.

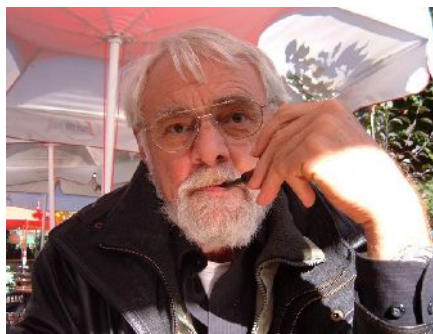
Po udziale w strajku nauczycielskim w 1937 roku Szymański wraz z rodziną postanowił osiedlić się na wsi, co nie było łatwym zamierzeniem. Oszczędna i energiczna żona poety namówiła go na kupno jednomorgowej parceli na pograniczu wsi Drgicz i Stoczek w ówczesnym powiecie węgrowskim, gdzie zbudował trzyizbowy domek, nie zabrakło też miejsca na ogródek. Na Podlasiu sielanka mieszała się z kłopotami finansowymi, jednak poeta nie przestawał tworzyć i wysyłać swoich tekstów nie tylko do warszawskiej prasy, choć jak gdzieś napisał: „W pismach burżuazyjnych nie drukuję nic”.

W piśmie „Spółnota” z datą 3 września 1939 roku znalazł się jego piękny wiersz pt. *Chorał wojenny*, zaczynający się od słów: W czyste niebo z pól naszych / jako z pasiek rojnych / jeszcze wczoraj dzwoniło wołanie: / – od powietrza, / głodu, / ognia / i wojny / zachowaj, zachowaj nas Panie...

Tygodnik z tym wierszem nie dotarł już do czytelników. Podczas masowej ewakuacji, na apel płk Romana Umiastowskiego (notabene znanego pisarza książek historycznych), Szymański wraz z tysiącami innych mężczyzn opuścił Warszawę bombardowaną przez Niemców. Miał wielkiego pecha. Podczas wędrówki na wschód najechał na niego samochód wojskowy, który spowodował pęknięcie i wgniecenie czaszki poety.

(Dokończenie na stronie 24)

Zamyślenia



Złoty róg Paderewskiego część I

I

Jechałem tam po dar nowych ludzi. Jechałem z daleka już po raz któryś z rzędu. Poetycka Jesień w małej mieścinie – Cieżkowicach. Cóż to za nazwa ciężka... Cieżkowice? Jakby nie wymawiać brzmi niczym sprzeczność cała. A czas był piękny, kąpiel w złocie jesieni, w brązach i czerwieni, właśnie w pianie takiego listowia pod stopami. Maszerowałem z ciężkim plecakiem tomików wierszy od stacji kolejowej do tego miejsca, do którego pięła się w górę pokrętna uliczka, prosto na rynek obłożony straganami, bo był to targowy dzień. Z kwadratowego rynku widok na szeroko rozwarte ramiona ciężkowieckiego rezerwatu. Tam daleko Skamieniałe Miasto. Obok zakłęta czarownica zadomowiła się na skalnym urwisku. Jej dusza czarna, ongiś stanąłem na jej łbie. Dołem jak wąż, wił się potok Biała, obchodząc w meandrach kamień szczęścia, który spoczywał na jej dnie. Dawno już wydeptałem ścieżki tych okolic i wszystkie tutejsze pejzaże wrosły w moje oczy na stałe. Poeci są zawsze w drodze, niczym, wytrawni piechurzy, pozostawiając za sobą szczególnie ślady. Bywając tu, usiłowałem je odszukać, ale rozeszczę w podróży i wędrówkach kamasze, ścierały na proch przyzwoite obuwie turystów. Zszedłszy biegnącą w dół uliczką, przekroczyłem asfaltową drogę, most na Białce i nasyp kolejowy bez zapory drogowej, czyli niestrzeżony. Po lewej nieczynny browar, za nim zarośnięty staw, za którym bieleły się ściany dworku Paderewskiego. Kamienny smutek po wielkim gospodarzu. Wszedłem do środka dworku niczym skalny ostaniec schodzący ze wzgórza na przekór starej legendzie. W portierni nie było nikogo. Usiadłem pod starym zegarem w hollu, zastanawiając się, czy też jego wnętrza, gdyby się tak po zegarmistrzowsku postarać, można wytrząsnąć owe sprężynowe zwoje czasu, aby odległe chwile zawiesić, jak wieszca fotograf wywołane filmy. Czy istnieją takie wywoławcze pamięci, gdzie człowiek znajduje na kliszach swoje i innych miejsce? Miejsca wszystkie, umiejscowione w klatkach światów odeszłych i czasami dziwnych. Byłem

chyba pierwszy, który zjechał na ten poetycki spędl. Wokoło panowała cisza. Każda taka cisza daje obraz właściwy i rzeczywisty. Byłem zmęczony tą długą drogą z Hamburga aż tu. Prawie dwadzieścia cztery godziny w zatłoczonym autobusie. Od paru lat dworek Ignacego obdarowywany był coraz nowymi ludźmi, których istnienie nadaje sens literackiemu żywotowi, choć pozostają oni potem tam, skąd przybyli, tak bardzo osobni. Przybliżyć wam ich twarze... Adam Szyper z New Jersey, Karl Grenzler z Hamm, Dorota Jaworska z Kijowa, Vera Kopecka z Czech, czy Jan Dydusiak-Szokalski z Australii, wspominając też serdecznie Lam Quang My z Wietnamu. To nie wszyscy na tej Międzynarodowej Galicyjskiej Jesieni Literackiej. Znow się pojawią, jak bywało to od paru ładnych lat. Poczekam na nich, przed nimi dłuższa droga. Gwiazdozbiory jesieni... Byłem cholernie zmęczony i najchętniej widziałbym łóżko w którymś pokoju dworku. Wiersze moich przyjaciół to zaiste tajemniczy świat. Oni wiozą te światy w podróży bagażach, czytając je potem w skromnych salkach małomiasteczkowych bibliotek. Odkąd pamiętam zawsze obdarzony byłem takimi właśnie ludźmi. Ich istnienie gdzieś tam daleko, nadaje sens mojemu życiu, choć ostatecznie pozostajemy gdzieś tam oddzieleni od siebie. Wyciosywałem z siebie resztkę sił, aby nie usnąć w tym miejscu. Ktoś się chyba pojawi, aby mógł „zamustrować” się na pokład tej literackiej łodzi.

Po przeciwległej stronie na ścianie portret Paderewskiego. Czy zawsze tu wisiał? Teraz dokładniej przyjrzałem się jego twarzy. Ludzie o wielkiej mądrości, ludzie sztuki, sprawiają czasami wrażenie nieczyłych. W każdym razie jest w nich jakaś forma dystansu. Ale tej twarzy należało zaufać. Dziś, kiedy świat poszedł tak daleko, że liczy się jedynie technika i produkcja, pieniądź, ta nowa niby cywilizacja odrzuca wszelkie wartości duchowe. Wielka góra, z której się schodzi, miast iść wyżej i wyżej.

– Chwileczkę, co waść tu robi, młody człowieku?

Cholera, nie przesłyszałem się, to pewne. Dystygowany na portrecie pan Paderewski zwracał się wyraźnie do mnie z tym zagadkowym uśmiechem. Przemówił z portretu i poczułem się nieswojo tą nadprzyrodzoną chwilą, jakbym został złapany na gorącym uczynku. W oczach mistrza dostrzegłem jednak pewien fizyczny stan łaskawości:

– Zapytałem jedynie z prostej ciekawości, młody człowieku. Ten mój mały dworek zawsze, zawsze podejmował gości z wdzięcznością za trudy drogi dotarcia tu, traktując ich jako najmilszych gości.

Patrzyłem na śniadą twarz gospodarza z tą, zdawać się mogło wzburzoną fryzurą siwiuteńkich włosów i chwila ta trwała. Nie byłem pewny, czy była to chwila rzeczywista na jawie, czy też wyjęta ze snu. Z mordegi snu wywołanego zmęczeniem, podróżą. Ale ja nie spałem, to nie był sen! Ciepły tembr głosu mistrza uwalniał od wszystkiego, od zmęczenia także. Wstałem z krzesła i stojąc teraz przed mistrzem, który zszedł z ram portretu, nie wiedziałem jak mam się zachować.

– No, młody człowieku udający wystraszonego. Ja nie gryzę i nauczyłem tego moje psy witające gości. Jawa nie jest najgorszym zajęciem, co może się nam wydarzyć podczas najtwardszego snu. Jesteś pan jednym z tych poetów, którzy tu się jawią jesienią od paru lat i dobrze. A gdzież reszta tego towarzystwa?

Stojąca przede mną postać mistrza była nader realna i rzeczywista, że chwilę tę przedłużyłbym nawet po przebudzeniu, a przecież ja nie spałem, nie śniłem tego wszystkiego.

– Reszta towarzystwa – wyraźnie przeciągałem słowa, wpatrzony w jego postać – reszta zapewne zaraz się tu pojawi, należy tylko poczekać...

– A może zatrzymali się w kościele obok rynku? Dziś jest dzień modłów za wolną ojczyznę. Myślę, że w całej naszej ojczyźnie tak wygląda dzień dziękczynienia.

– Tak, z całą pewnością – potwierdziłem, przeciągając słowa.

Spojrzałem na portret. Blejtram w ramach był pusty błyszcząc białą farbą podkładową.

– A ty, młody człowieku zrejterowałeś i nie poszedłeś na dziękczynienie. Rozpadało się, wieś teraz ciemna, biedna w całym błocie, droga do kościoła wiedzie pod górę. Cóż, każę zaprzęgnąć konie do kolaski. – Mówiąc to podszedł do drzwi i zawołał donośnym głosem: – Grabowski, racz zaprzęgnąć Pęga-za, wybieramy się do kościoła. Mości Grabowski, słyszycie mnie?!

II

Stałem przed mistrzem zadziwiony prostotą prawdy jego konstatacji o biedzie tych stron, błotnistych drogach wiodących ciągle pod górę. Było w tym poczucie więzi z tymi stronami i ludźmi. Przysłuchując się rozmowie podczas drogi z woźnicą Grabowskim, obaj byli niczym dwa instrumenty ludowej kapeli dodające sobie ton.

– Czy wiesz, młody człowieku, że on też jest poetą? Kto ma wiarę w sobie i poezję, ten ma wszystko. Poezja jest drogą ku ocaleniu słowa.

Konie z mozołem pięły się pod górę. Czulem w sobie cały czas tę wartość zwątpienia, że to nie jawa, a tylko sen. Paradoks jednego i drugiego. Trudziłem się nad tym w myślach, słuchając ich rozmowy i ciapkaniny końskich kopyt w błocie. Wszystko we mnie było rozsypane, czulem nawet odmowę udziału w tym, co wokół mnie, która mnie się przydarzyła. Dlaczego właśnie mnie? W końcu zajechaliśmy przed kościół, który ku mojemu zdumieniu był pusty. Stałem w przedsionku zwanego nawą, kiedy mistrz kroczył pośród pustych ław, gestami rąk odpowiadając zapewne na gesty powitanie i głuche owacje. Wytężyłem słuch, ale w kościele panowała zaiste biblioteczna cisza. Jeden z moich przyjaciół po piórze mawiał, że ciągnie go czasem do kościoła ze względu właśnie na biblioteczna ciszę.

cdn.

Kazimierz Iwosse

Kozetka (42)



Jefe de Jefes*

Dla pożądaną władzy nie istnieje droga pośrednia między szczytem a przepaścią. Żądza władzy (jest gwałtowniejsza od innych namiętności). Cupido dominandi (cunctis affectibus flagrantior est).

Tacyt

Nie możesz pokonać fali,
ale możesz po niej sunąć.
(przysłowie japońskie)

Joanna Friedrich

Zrobiłam sobie jeden z ogólnodostępnych testów na rozwój półkul mózgowych. I cóż, lewa ma 24, prawa – 52 lata. Celowo pozwoliłam jej się rozwinąć za radą trenerki technik aktorskich, Sylwii. („Nie marnuj potencjału”).

Czego zbieram coraz większe żniwo.

Sen, przepraszam, sezon zimowy, sprzyja dominacji wyobraźni. Moje ulubione sporty przy minus dziesięciu stopniach Celsjusza na zewnątrz, muszą trochę poczekać.

A potem, głównie nocą, niewyhasane urzędzenia pokładowe dają mi popalić. Mój mózg przypomina pralkę nastawioną na najwyższe obroty wirowania. Fabuł. Lub Thermomix sprzężony z młynkiem do kawy.

Budziłam się spokojnie ze snów o wysokich bocianich gniazdach, obrośniętych bujną, szmaragdową roślinnością tuż nad lazurowym morzem – skakało się z nich w dół, do wody na bungee.

Senne baobaby o karminowych koronach w postaci baldachów złożonych – monstrualnych kwiatostanów krwawników pospolitych (Achillea millefolium), ocieniające żółte, piaszczyste drogi (Afryki?) też nie robiły na mnie wrażenia.

W końcu jestem do siebie już przyzwyczajona.

czajona.

Potem jednak było jeszcze kilka innych, abstrakcyjnych snów, które zaczęły przyspieszać, aż przekształciły się w całkiem realne gry RPG, które były o tyle męczące swoją interaktywnością, że same zaczęły mnie zaczepiać, ustawiając wejścia do siebie w najmniej oczekiwanych miejscach; podnosiłeś niewinne narzędzie, na przykład młotek – i już byłeś w grze.

Po obudzeniu z jednego z takich snów przeczytałam, że jedną z pierwszych popularnych gier tego rodzaju, w roku 1986, był właśnie „Hammer”.

W realu nigdy nie grałam, gra tylko mój syn, ale nie wiem, może eksperymentuje na nich NASA, zaczepiając o moje fale mózgowe, albo przyczepiły się przez osmozę, bo jesteśmy w podobnym wieku.

Stańto w końcu na snach o katastrofach klimatycznych (internet bombarduje mnie zdjęciami zmniejszającej się Arktyki), a po ostatnich doniesieniach o spowiedziach w PKP, w moich snach, w żelaznych budkach strażniczych, niczym w konfesjonatach, rozsianych po całej sennej scenarii, rozsiedli się spowiednicy...

Nadszedł dzień, kiedy boję się położyć spać w obawie przed przytaczającą ilością surrealnych wrażeń, nie mówiąc o najzwyklejszym niewyspaniu.



Dlatego apeluję do czytających to par: produkujcie proszę więcej niż jedno dziecko, bo kiedy wyprodukujecie tylko i wyłącznie jedno, jego „Jefe de Jefes” stanie się wyobraźnia, a nie każdy dobrze to znosi.

Jednowładza bywa okrutna nawet dla długodystansowców.

Natomiast, kiedy za oknem jest minus 10, do ubrania po wstaniu, nie przychodzi mi nic innego jak sławny Teddy Bear, czyli ponadczasowy płaszcz Max Mary z wełny wielbłąda.

Ukości zmysły płaszczem w kolorze kawy, popijając karmelowe latte: tak wyobrażam sobie idealny piątek (czy też piątkową multiplikację: święta).

PS. Rzeczy nazwane po imieniu przywołują resztę istoty rzeczy do właściwego porządku. Jak tylko ośmieliłam się Wam naskarżyć, opisując, co wyprawia Jefe de Jefes, dziś w nocy przysniło mi się pływanie wśród spokojnych morskich fal.

W momencie kiedy odpływ był za silny by pływać – wyszłam na brzeg, by wracać wulkaniczną plażą.

Nie mogłam nasycić oczu pięknem czarnych pagórków, których wierzchołki zdobyły paciorki żółtych koralii mojej babci (dziękuję Babciu, że czuwasz) – całość wyglądała jak buddyjskie mozaiki usypywane z piasku, tylko w formie wydm. Jefe de Jefes musi mieszkać w Peru, dokładnie rejon „rainbow mountains”.

Jest sprawiedliwość na tym świecie.
Hough.

*(hiszp. Szeef szefów)



Damian Dawid Nowak

Obcy ląd

jak dobrze że nie poznałem Cię
że nie skropliłaś się nie rozlałaś
nie naruszyłaś nie przerwałaś

jak dobrze że dom zamknięty
że latarnia pusta że w piwnicy
nie ma nawet komu straszyc

proszę taka pozostań obcy ląd
bezpiecznie dotykany przez mapę

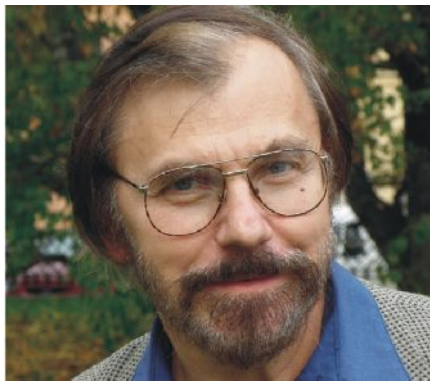
Kurort wypoczynkowy

Przecudownie poczułem się oszukany,
że świat mógłby i przestać istnieć,
a Słońce dalej wschodzić będzie
bez akompaniamentu budzika.
W kurorcie wypoczynkowym
widziałem pary w miękkich kapciach,
czystą wodę w pustym basenie,
brak zmieniony: czasu w zadań,
nieodmiennie nieznośny.

Pogodnym popołudniem

pogodnym popołudniem i bez zbędnych
wymówek
przyjdzie do mnie niekinowa śmierć 144p
niewyraźną kosą przytuli mnie do siebie
rozpikseluje granice życia wyjmie miękkie
środek
zostawi za nami oświetloną lipcem obcą
łupinę

Listy do Pani A. (126)



Wynaturzenia i traumy

Droga Pani!

Najprzyjemniejsze, wzruszające spotkanie, w jakim ostatnio braliśmy z Anią udział, to był wieczór autorski Józefa Hena we Wrocławskim Domu Literatury. Zjawił się w towarzystwie córki, Magdaleny Hen. Na spotkanie dotarło mniej więcej sto osób. Dziwiliśmy się, że tylko tyle. Przecież Hen, który ukończył w ubiegłym roku dziewięćdziesiąt pięć lat, jest wybitnym pisarzem, autorem scenariuszy filmowych, a także reżyserem. Nie było prawie młodych ludzi. Może jego twórczość jest „za trudna”, bo się odwołuje do historii, analizuje ludzką psychikę, porusza tematykę uniwersalną? Pisarz wyznał, iż swoją twórczością chce pobudzać do refleksji, a nie narzucać własną wizję świata.

Zwrócił też uwagę na dzisiejszą niedbałość języka, nieuctwo, snobizm i zarozumialstwo dzisiejszych adeptów pisarstwa. To zjawisko sam obserwuję od lat. Dlatego do młodej literatury, a szczególnie do poezji mam podejście coraz bardziej „chromologiczne”. Najróżniejsze chłytki literackie zamiast uczyć się od wielkiego pisarza uważają, że to od nich w ogóle zaczyna się piśmiennictwo.

Głównym tematem spotkania była książka „Ja, deprawator”, ale na tym się nie skończyło. Pisarz wspominał swoje lata młodości, kontakty z Igorem Abramowem Newerlym, debiut w „Małym Przeglądzie”, uwagi literackie, jakie mu czynił Newerly. Wyjaśnił też swój pseudonim. Powiedział z właściwym sobie humorem, iż nie pochodzi on od „hen” co znaczy w języku jidysz „wdzięk”, a po angielsku „kwoka”. Powstał dużo prościej. Kiedyś, jako młody chłopiec, wyskrobał na parapecie okna w klatce schodowej warszawskiej kamienicy („ale nie tej, w której mieszkałem” – zastrzegł z uśmiechem) trzy pierwsze litery swojego drugiego imienia Henryk. Z tego powstał później Hen jako literacki pseudonim.

Unikał też komentarzy dotyczących współczesnej rzeczywistości. Na pytanie o różnice pomiędzy dawnymi czasami a dzi-

sięszymi odparł, że dawniej był despotyzm łagodzony przez bałagan, a teraz jest bałagan zaostrzony przez despotyzm. To świetna definicja. I ten swoisty humor Hena...

Podszedłem do niego. Od razu mnie poznał, choć nie widzieliśmy się kilkanaście lat. Kiedyś często się spotykaliśmy przy różnych okazjach, przeprowadziłem z nim kilka wywiadów, rozmawialiśmy o literaturze. Zaniósłem mu książki jego autorstwa z prośbą o dedykację. Wszyscy podchodzący do niego musieli klęknąć, bo pisarz siedział na niskim fotelu, wymagało tego ustawienie oświetlenia: w pewnym położeniu było zbyt rażące, w innym zaś za bardzo zacienione. Tylko w jednym było optymalne. Wyczekaliśmy z Anią odpowiedniego momentu. Wtedy podeszliśmy, a ja rzuciłem się na klęczki. Z zewnątrz musiało to przypominać „Hołd Pruski”. Zamieniliśmy niemało słów wspominając dawne czasy. Przedstawiłem mu Anię. Przyjrzała się jej uważnie i powiedział z uśmiechem: „dobry wybór”.

Muszę też Pani wspomnieć o innym spotkaniu, poświęconym biografiami Jarosława Iwaszkiewicza i Jerzego Andrzejewskiego. O pisarzach, a także zadaniach biografów opowiadali Anna Demadre-Synoradzka, Anna Król i Radosław Romaniuk. Opowiadali o swojej pracy, o selekcjonowaniu i weryfikowaniu materiałów, odkrywaniu nowych elementów, aby nie powtarzać wyłącznie faktów znanych. Pisanie biografii, to jakby wędrówka po jeszcze nieznanych ładach, poszerzanie przestrzeni dla nowych interpretacji. Słuchaliśmy z Anią tego interesującego i trzymającego w napięciu wykładu. Zresztą jesteśmy oboje miłośnikami tego typu literatury.

Poszliśmy z Anią na „Kler”, czyli – jak twierdzi Największy Toruńczyk – zasililiśmy kasę wrogów Kościoła. Miałem z tego powodu niemałą satysfakcję.

To film tragiczny mówiący o autentycznych dramatach. Nie ma w nim nic z taniej sensacji. Obłudą jest bronienie „Kleru” jako filmu tylko o „pewnych wynaturzeniach”. Problem jest daleko głębszy. To, co dostrzegamy przypomina chleb, na którym widać wykwyty pleśni, ale w jego miąższu są całe labirynty cienutkich nitczek grzybnii. Taki chleb nadaje się tylko do wyrzucenia. Tutaj jest podobnie. Gołym okiem widać drastyczne fakty: molestowanie dzieci i młodzieży przez duchownych, homoseksualizm, rozwiązłość. Potem ofiary, idą do seminariów, tam znowu są molestowani, i w konsekwencji często zaczynają sami molestować. Koło się zamyka. Pobyt w seminarium sprzyja wynaturzeniom, deprawacji i skrzywieniom psychicznym. Tłumi się tam indywidualności, wyraziste charaktery, zmusza do bezwzględności posłuszeństwa przy jednoczesnym braku racjonalnych przesłanek. Narzucający się cynizm, psychiczne zniewolenie, oportunistyczny czynią z naiwnych, albo też sprytnych kleryków oszustów, cyników, a z tych mniej inteligentnych fanatycznych dewotów, bezwolne narzędzia Kościoła rzymskokatolickiego, najbardziej wynaturzonej formy chrześcijaństwa. Jeśli wśród duchownych są ludzie odważni, niezakłamanymi, szlachetnymi, to zawdzięczają to tylko sobie, swojemu kry-

tycznemu spojrzeniu na świat i otoczenie.

Wielu, przeważnie z rodzin dysfunkcyjnych, zindoktrynowanych, a często właśnie molestowanych, nie potrafi podejmować samodzielną decyzji. Są oni psychicznie ubezwłasnowolnieni, zdemoralizowani przez cynicznych „wychowawców”, chamskich przełożonych, obłudnych, ordynarnych i w gruncie rzeczy głupich biskupów. I te własne traumy, psychozy i zbrocenia później przekazują innym. I tak się koło zamyka. Powtórzę Pani: „Kler”, to film tragiczny i bardzo prawdziwy. Świetnie zagrany. Znakomity Janusz Gajos w roli biskupa, prostaka, osobnika obłudnego, ukrytego zbrojca o ksywie „towarzysz Prosiaczek”. Robert Więckiewicz kreuje najbardziej pozytywną postać księdza, który wystąpił tego całego piekła mężczyzn czy „zmowy diabłów”. Znakomity jest Jacek Braciak w roli ks. Lisowskiego... Wszystkie sceny, najmniejsze epizody, są pokazane znakomicie, oszczędnie, bez nastawiania się tanimi sensacyjkami. Jeśli Pani jeszcze na „Klerze” nie była, to najgoręcej ten film polecam.

Bohaterowie tego filmu najczęściej byli kiedyś tam deprawowani, zrozumiacie więc, że są, jacy są. Nie rozumiem jednak dzisiejszych „psychologów”, którzy wmawiają ludziom najrozmaitsze traumy. Właściwie to rozumiem... Chodzi o napędzanie klienteli do gabinetów różnych szarlatanów. Trauma dziedziczona po pradziadkach, dziadkach, rodzicach, albo po... PRL-u, gdzie rzekomo nic nie było, nawet drzewa nie miały koloru zielonego, dzieci pozbawione były zabawek czy słodyczy. Więc trauma gotowa – jak twierdzi głupawa osóbką z „tytułkiem” profesorskim. Nie wiem, ale ja po dziadku powstańcu styczniowym, a zwłaszcza po ojcu, więźniu Auschwitz, Buchenwaldu i Dory przynajmniej nie powinienem móc siadać choćby ze względu kłęb drutu kolczastego w pewnym miejscu, i do dziś mieć niestrawność po tych wszystkich słodyczach, których się najadłem za Bieruta, Gomułki i Gierka. A co od czasów, kiedy nasi przodkowie na mchu jadal? A jakie traumy mamy po Adamie i Ewie – Pierwszych Wypędzonych? Jeszcze większa trauma dzisiejszych pokoleń! Tak więc życzę Pani (i sobie), abyśmy w nadchodzącym roku uwolnili się od wszelkiej maści szarlatanów, a w przyszłość patrzyli jaśniej i bardziej optymistycznie –

Stefan Jurkowski



Rys. Barbara Medajka

Rozmyślania



Człowiek istnieje dla kultury

Początek roku pozwala nam zastanowić się jaka będzie nasza kultura w nadchodzącym roku. Choć przez cały czas – od 1989 roku – mamy świadomość nie tylko kryzysu, ale i załamania w skali ogólnospołecznej tradycyjnego modelu „upowszechniania kultury”, to jednak całe rzesze działaczy wierzą, że nie wszystko jeszcze stracone. Ciągłe mają na uwadze ożywienie innych tradycji bycia w kulturze, innych propozycji kulturalnych – spełniających wymogi cywilizacyjnego rozwoju. Nie chodzi więc o to, aby „kulturę” upowszechniać jako zewnętrzny, wysoki i onieśmielający walor, który wtajemniczeni przedstawiają prostakom. Chodzi o to, aby w niej być, jako formie wspólnego, ludzkiego istnienia, ożywiając tę formę i twórczo ją wypełniając. Twórczość należy zresztą rozumieć elementarnie, a nie tylko artystycznie, choć artystyczne spełnienia powinniśmy mieć również na uwadze.

Andrzej Dębowski

Przed wszystkim należy szeroko upowszechniać wiedzę o kulturze. Ogólne składniki tej wiedzy są niezbędne w każdym nauczaniu, i są tylko narzędziami, a nie bytami samoistnymi. Co oznacza, że narzędzia te są środkami osiągnięcia celów, a nie celami samymi w sobie. Celami tymi bowiem jest rozpoznawanie i kształtowanie kultury macierzystej w jej związkach z kulturą powszechną.

Sytuacja kultury polskiej od czasu transformacji ustrojowej nie jest łatwa. Kiedy nałoży się ją na przemiany polityczne, jakie nastąpiły w Polsce, która przeszła od państwa totalitarnego do demokracji parlamentarnej, zaczynamy ją postrzegać nieco inaczej. Jednak kulturę trzeba

widzieć w perspektywie szerszej – jej oblicza z tamtych czasów komunizmu, wpływu przemian, których trudy ponosi Naród na jej rozwój, oraz wpływu, jaki na polską kulturę mają zjawiska kulturowe zachodzące na świecie.

Wiemy, że kultura wyraża człowieka, jego wartość, godność, służy jego dobru. Jest kształtem jego życia, sposobem jego istnienia. Człowiek żyje na sposób sobie właściwej kultury. Stąd też w jedności kultury jako właściwego sposobu istnienia człowieka bierze zarazem początek wielość kultur, wśród których człowiek bytuje. W tej wielości człowiek rozwija się, nie tracąc istotnego kontaktu z jednością kultury, jako podstawowego wymiaru swego istnienia i bytowania. Ta jedność rodzi się ze zjednoczonego pluralizmu przez wzajemne poznanie i uznanie kulturowych odrębności przez dialog, który ubogaca jednych wartościami drugich. Kultura jest zjawiskiem ludzkim, świadomym i wolnym działaniem człowieka, mającym na celu humanizację jego i środowiska, w którym on żyje. Jest więc człowiek podmiotem, autorem, sprawcą kultury, jest jej podmiotem i ostatecznym celem wszystkich działań kulturowych. To człowiek i tylko człowiek wyraża się i potwierdza w kulturze. Jest on cały i niepodzielny w integralnym całokształcie swojej duchowej podmiotowości. W centrum kultury znajduje się duchowy wymiar człowieka, a jej zasadniczym celem jest rozwój człowieka, stąd pierwszym zadaniem kultury jest wychowanie.

Jeżeli stworzona przez człowieka kultura ma mieć ludzkie oblicze, jeżeli ma człowiekowi pomagać być coraz bardziej osobą, a więc być podmiotem tworzącym duchowo swoje zachowania, to podstawowym tego warunkiem ma być pełna prawda o człowieku, właściwa wizja człowieka, ludzkiego życia.

Pierwszym wymiarem tej kultury powinna być zatem „moralność”. Prymat osób nad rzeczami, ducha nad materią, wskazuje właśnie na moralność jako na pierwszą i zasadniczą dziedzinę kultury. Nie można ocenić właściwie stanu polskiej kultury, gdy oderwie się ją od wartości, na których opiera się, które wyraża i które tworzy. Nie można widzieć kultury tylko przez pryzmat finansów zarządzania – decentralizację czy powrotu do centralizacji, nadzoru państwa nad kulturą. Jak cudownie rozwijała się polska kultura w czas niewoli i ucisku – bo wyrażał ją człowiek zakorzeniony w wartościach, tworzył w prawdzie swojego bytu i w prawdzie o samym sobie, bez odgórnego zarządzania, protekcjonizmu. A jednak kultura przetrwała ten trudny czas, bo przetrwał duch w człowieku i w Narodzie, który zachował własną tożsamość. Zachował ją w oparciu o własną kulturę. Naród, tak jak człowiek, istnieje „dla kultury”. To, czy przetrwa polska kultura, ta odbijająca tożsamość Narodu i wyrażająca prawdę o człowieku, zależy więc od tego, co uczynimy z wartościami, w których była ona zakorzeniona. Prawdziwa kultura jest kulturą wolności. Z niej wypływa i na niej się opiera; żyje wolnością. Ale też wolność, oderwana od prawidłowej wizji człowieka, od prawego z niej korzystania, może być środkiem niszczenia kultury. Bo ten jest wolny, kto jest w stanie kierować się wartościami. Nasz wiek jest epoką deptania ludzkich wartości, degradacji wartości rodziny, wartości Narodu. Pytaniem, które się rodzi, jest to, jak ocalić te wartości, bo ocalić je w sobie, w życiu rodziny i Narodu, to także ocalić przyszłość kultury.

Czy dziś, kiedy tyle słów i programów mówi o konieczności naprawy Rzeczypospolitej, mo-

żemy problemy kultury pozostawić na później? Jak wiemy, pragmatyzm ekonomiczny zdominował w Polsce myślenie i decyzje społeczne. Jednak biada człowiekowi i narodowi, jeżeli ekonomia staje się najważniejsza i konkurencyjna wobec kultury, gdy kultura schodzi na plan daleki. Naprawa bowiem ma służyć człowiekowi, a nie strukturalizmowi, narodowi, a nie porządkowi administracyjnemu. Naród jest wspólnotą, którą łączą różne spoiwa, ale nade wszystko łączy kultura. Kultura stanowi o tym, kim jest człowiek i jakie jest oblicze narodu, ale także i o tym, jakimi kryteriami kieruje się władza państwowa. Istnienie człowieka określa wewnętrzny stosunek do prawdy, dobra i piękna.

Dziś powszechną grozą i przerażeniem budzi fakt, że dla współczesnych Polaków wśród pragnień tzw. bogate życie kulturalne pojawia się dopiero na 7. miejscu. Według ostatnich informacji ponad 60 proc. Polaków nie czyta żadnych książek. Nie czyta w ogóle nic. Z innych badań wiemy, iż tylko 5% Polaków uważa, że należałoby zwiększyć dotację na kulturę. Namiastką kultury dla 67% Polaków jest codzienne oglądanie telewizji. I co najgorsze, właśnie ci nieoczytani i niewydukiowani ludzie mają największą do powiedzenia na temat kultury. To oni zazwyczaj wiedzą najlepiej co jest dobre, a co złe...

Niech więc ludzie sztuki, nauki, polityki i kultury wykorzystują swoje zdolności twórcze, aby ukazywać całą prawdę, piękno i dobro życia. Będzie to możliwe tylko wówczas, gdy dążyć się będzie do zbudowania integralnej wizji człowieka. Jeżeli ta wizja będzie słaba, ludzka godność zostanie umniejszona, a dobra stworzone, które powinny służyć dobru i postępowi całej ludzkości, prędzej czy później obrócą się przeciwko człowiekowi i życiu.

Edukacja i kultura są rodzajem inwestycji w przyszłość, stwarzającej możliwości rozwoju obywatelom. Badania wykazują, iż niezależnie od stopnia prorynkowego nastawienia gospodarki w krajach europejskich, podstawowe znaczenie dla rozwoju kultury tych krajów mają środki publiczne pochodzące z budżetu państwa i budżetów samorządowych. Czy pamięta się o tym w Polsce?

Nowoczesność kultury może w tym znacznie pomóc, gdyż jej przyszłość jest w sposób nieodparty i nieodwracalny związana z masowymi środkami przekazu w ich fazie nie tylko audiowizualnej, ale i multimedialnej. Nie sposób budować i świecić w życie wizji nowoczesnej Polski bez świadomości, że kultura jest istotnym wyznacznikiem poziomu życia w naszym państwie, jak również miernikiem naszej pozycji pośród społeczności międzynarodowej. Wiąże się to jednak z całym pakietem kulturalnych powinności, które należy wdrażać i to jak najszybciej.

Dbłość o dostęp do kultury dla szerokich kręgów społeczeństwa wymaga zastosowania wyjątku kulturalnego w stosunku do książek i czasopism o znaczeniu kulturalnym.

Skuteczna promocja polskiej kultury może w sposób najbardziej efektywny wzmocnić pozycję Polski na arenie międzynarodowej poprzez wypromowanie atrakcyjnego i spójnego wizerunku naszego kraju. Ale o tym, czy tak się stanie będziemy w głównej mierze decydować sami – swoją postawą, swoim zachowaniem, swoim bezpośrednim uczestnictwem w kulturze i swoim oddziaływaniem na innych.

Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (34)

(fragmenty)



Listy – okno na świat

Krzysztof Myszkowski poprosił mnie o wstęp do listów tragicznie zmarłego Janka Rybowicza – niezwykle utalentowanego prozaika oraz poety, który za życia mieszkał w Lisiej Górze (25 kilometrów od Borzęcina). Przy pisaniu powróciły wspomnienia sprzed lat:

80 kilometrów, odległość dzieląca Lisią Górę od Krakowa, to znowu nie taki wielki dystans do pokonania autobusem, pociągiem czy samochodem. A jednak podróże nie były specjalnością Janka, który przyjechał do mnie do Krakowa bodaj tylko trzy razy.

Pierwszy raz, gdy w 1976 spotkaliśmy się w Klubie Dziennikarskim „Pod Gruszką”, gdzie się pojawił wraz z siostrą Grażyną, studiującą polonistykę na UJ, i przyniósł utwory debiutanckie z prośbą o ich druk w tygodniku „Wieści”, gdzie prowadziłem dział literacki. Drugi raz – chyba pod koniec lat 70., gdy sprawił mi wielką przyjemność fakt, że jest już dobrze znany i ceniony w krakowskim środowisku literackim, o czym przekonał się, pijąc ze mną gorzałeczkę w tymże klubie. Trzeci raz zaś w połowie lat 80. Zjawił się bez zapowiedzi trochę jak duch w krakowskim mieszkaniu w środku nocy, wracając z pociągowego wypadu do miejsca urodzenia – Kędzierzyna-Koźla, i pierwszą rzeczą, którą zrobił przed udaniem się spać na odstąpiony mu przeze mnie tapczan, było upranie skarpetek, czym oczywiście oczarował moją żonę.

Ale tak w ogóle wojaże nie były jego specjalnością. Cierpiał na jakiś rodzaj lęku przestrzeni, zamykający go w kręgu pijaczków z „Lisiogórzanki”...

...Tak się złożyło, że Lisia Góra była mi – nie tak dokładnie, ale jednak – pod drodze do Borzęcina. Odwiedzałem więc Janka dużo częściej niż on mnie. W domu Rybowiczów czułem się zresztą dobrze, bywałem serdecznie podejmowany obiadem, a niekiedy kolacją, gdy zostawałem na noc, przez jego mamę Marię, kobiecinę prostą, lecz arystokratycznie

szlachetną i wrażliwą, zawsze zatroskaną o losy syna, którego bardzo kochała.

W związku z niechęcią Janka do wyjazdów w świat, gdzie mieściły się redakcje pism i wydawnictw, jedyną formą jego kontaktów ze znajomkami po piórze bywały listy.

Trudno sobie dziś wyobrazić młodym ludziom, że w tamtych czasach, nie tak znów odległych (20, 30 lat temu), nie było telefonów komórkowych czy połączeń internetowych... że nikt nie słyszał o esemesach czy mailach. Ba! Może ktoś wierzyć albo nie... ale nawet ja, uprawiający zawodowo dziennikarstwo – do roku 1989 nie miałem w domu telefonu, a moje kolejne pisemne monity w tej sprawie były zbywane odmowami. Musiałem doczekać zmiany ustroju, żebym mógł sobie wreszcie zainstalować w mieszkaniu M-4 za własne pieniądze „drogocenny” aparat. Oczywiście Janek mieszkający na wsi tym bardziej telefonu nie posiadał, więc o swoim przyjeździe zawiadaniałem zawsze jego mamę pracującą w sklepie, bo na szczęście mogła tam korzystać z owego „unikatowego” urzędnika.

Wspominam o tym, żeby zarysować tło tamtej epoki, gdy pisanie listów na papierze nie było jeszcze sztuką podupadłą, czy wręcz upadłą, tak jak to jest dzisiaj... no i by zdać sobie sprawę z ważności tej „staroświeckiej” formy komunikowania się.

Listy Janka (mam ich ponad czterdzieści) pisane szybko, na maszynie bądź długopisem, w celach doraźnych, informacyjnych, okolicznościowych, rzadko odznaczały się wykwintnym artystycznie, wyelegantowanym literacko stylem, raczej informowały, co w danej chwili robi, czym i z czego żyje, co pisze, w jakim stanie ducha się znajduje (w euforii czy w depresji), na kogo się wścieka, co go złości, a co zachwyca i dodaje skrzydeł.

Dzięki listom odreagowywał stresy i irytację. Niekiedy jego dłoń sterował przy pisaniu alkoholowy demon, który w niego na jakiś czas wstępował i z którym sobie nie radził, więc zdarzało się, że na przykład prosił mnie o przyjazd i przyjacielską pomoc przy wypędzeniu go... Znajdują się wśród jego listów koperty z pieczętkami „OCENZUROWANO” bo wysłane zostały z Ośrodka dla Internowanych w Załężu, gdzie zamknięto go na przełomie lat 1981/1982... Do wielu listów dołączane były opowiadania (bardzo wysoko je ceniłem) i wiersze, które później drukowałem w tygodniku „Wieści”, zdając sobie sprawę nie tylko z ich literackiej wartości, ale i z faktu, że Jankowi pieniądze z honorarium są potrzebne, bo przecież nigdzie etatowo nie pracował.

Wczesne listy są „kulturalne”, grzeczne; pisał je debiutant do „znanego” już poety, którego – a jakże, wypadało mu tak – zaliczał do „pierwszej piątki poetów polskich”. Późniejsze – coraz bardziej bezceremonialne, świadome wielkiego talentu, jakim obdarzył go Pan Bóg czy diabeł, noszące piętno jego gwałtownej, czasem pysznej i niepomahowanej natury... Ale zdarzają się też listy rozpaczliwe, odsłaniające słabość człowieka szamoczącego się w sieci samotności, uzależnień i ograniczeń: „Józiu, Napisz coś do mnie albo przyjeżdż najlepiej i najszybciej – jak możesz – bo nie wiem, co się ze mną dzieje!!!”.

Twarz Janka wyłaniająca się z korespondencji miała wiele emocjonalnych odmian, ale

najbardziej wzruszała mnie i poruszała twarz umęczonego przyjaciela, który nie umie sobie poradzić z alkoholem i któremu ja też nie potrafię w żaden sposób pomóc.

Oczywiście Janek nie byłby sobą, gdyby na kopertach z listami nie brakowało dopisków w rodzaju: „Komuniści do leczenia!” albo „PZPR do psychiatry”. W związku z tym byłem wzywany na przesłuchanie do Urzędu Bezpieczeństwa w Krakowie, gdzie dyskutowałem z mającym ambicje intelektualne oficerem o walorach książek Rybowicza wydawanych wówczas w najlepszych oficynach literackich w Polsce.

W istocie Janek nie był konsekwentny w swoich poglądach politycznych, niekiedy się zmieniał (na przykład wstąpił do ZLP). Organicznie nie cierpiał „komuchów”, co nie znaczy, że na dłużej potrafił się zakochać w Solidarności. Był naturą wolną, anarchystyczną, umysłem nieskrępowanym, skrajnym indywidualistą, mało skłonnym do zbiorowych, choćby najszlachetniejszych uniesień.

Wielki duch w podatnym na nałogi słabym ciebie; w klatce mieszkania z widokiem na knajpę „Lisiogórzanka”, która codziennie wzywała go przez szosę i z której realnym majakiem i koszmarem starał się walczyć jak święty Jerzy ze smokiem, raz z gorszym, raz z lepszym skutkiem...

I o tym też Janek w listach do mnie pisał...

Po jego śmierci (zapił się albo zatrzał – jak mówiono w Lisiej Górze – „ruskim spirytusem”) zapadło milczenie, przerywane tylko czasami, na przykład długim esejem Jana Marxa o pisarzu z Lisiej Góry zamieszczonym wraz z jego wierszami i opowiadaniem w głośnej antologii „Legendarni i tragiczni”. Dość wspomnieć, że w tej tysiącstronicowej księdze polskich literackich „kamikadze”, zredagowanej przez Marxa i wydanej w 2002 w oficynie „Alfa” – 200 stron, a więc najwięcej, zajmuje twórczość mojego zmarłego przyjaciela!

W grudniu 2005, w 15 lat po śmierci autora „Wiochy Chodaków”, dowiedziałem się, że zapomnianego poetę zamierza wskrzesić Krzysztof Myszkowski, lider kultowego Starego Dobrego Małżeństwa. Właśnie przygotowuje płytę z utworami Janka, do których napisał muzykę. Bardzo się ucieszyłem, bo dzięki tej płycie poeta miał szansę trafić do serc młodych ludzi.

Wysłała jedna... Wysłała druga, trzecia i czwarta płyta z piosenkami Rybowicza...

Wzrosło ogromnie zainteresowanie i nim, i tym, co po sobie pozostawił, także – listami. Zostałem przekonany, że warto je wyciągnąć z zakurzonego pudła na światło publiczne. Fragmenty mojej korespondencji z Jankiem ukazały się w „Poboczach” a teraz za namową Krzysztofa zdecydowałem się na opublikowanie całości w książce.

Swoją drogą, wyobrażam sobie, jak niesamowitą frajdą dla Janka byłoby znalezienie się na koncercie SDM i zobaczenie tłumów znających na pamięć i śpiewających jego buntownicze wiersze. Niestety to szczęście nie było mu za życia dane.

Janek miał poczucie wielkiego osamotnienia i zapomnienia...

cdn.

Poezja publicystyczna

Termin *imponderabilia* należy rozumieć jako rzeczy nieuchwytny, nie dające się zauważać bezpośrednio, zmierzyć, dokładnie określić, mogące mieć jednak znaczenie i np. wpływać na losy ludzkiej egzystencji. Taki też tytuł nosi tom wierszy wydany przez **Magdalenę Węgrzynowicz-Plichtę** na początku 2018 roku, składający się z trzech części: „imponderabilia”, „spod prasy” i „(nie)cierpliwe naręcza rumianków”. Całość zamyka posłowie napisane również przez autorkę – *internetowe silva rerum*, w którym zostają ukazane mechanizmy psychologiczne oraz technologiczne powstawania tej książki. Przypomina ona poniekąd swą formą tradycyjny pamiętnik, choć jest to sprawa wtórna, gdyż poetka wykorzystwała przy jego tworzeniu dobrodziejstwa wynikające z użytkowania Internetu przez artystę, który m.in. automatycznie datuje zapis oraz publikacje danego utworu, ale i otwiera możliwość interaktywnego wpływu innych użytkowników sieci na ich zawartość, jak również same konteksty publikacji mogą wpływać na siebie pod względem znaczenia tejże zawartości.

Inną ważną kwestią, pojawiającą się już wcześniej w publikacjach Węgrzynowicz-Plichty jest tragiczna w skutkach śmierć jej osiemnastoletniego syna – Tadeusza¹, która zostawiła głęboką skazę na psychice poetki-matki, a która to może być jednym z tych imponderabiliów nieuchwytnym dla postronnego czytelnika, istotnie wpływającym na kierunek dyskursu literackiego jej wierszy. W utworze pt. „skaza”, który otwiera ten tom, dowiadujemy się, że: (...) *z każdym nierozważnym krokiem / ciszej w żyłach szumi krew // napiętnowani stratą w mądrości / szukamy przebłyску przetrwania* (...).

Skaza ta może bowiem stanowić źródło erupcji utworów, w których autorka wykrzykuje swój ból związany z utratą syna, ale i prowokować inny kierunek dyskursu słownego, maskujący ten głęboko skrywany ból, za którym idą różne sposoby życia doczesnego, budujące nadzieję jakiegoś możliwego spotkania z nim w wieczności. W kulturze literackiej od zarania dziejów ludzkości obowiązuje przecież stara zasada, że jeśli czyjeś imię się przywołuje, to ono powoduje, że ów zmarły obiekt dalej żyje. Świadczą o tym przekonaniu ludzi np. hymny wykonywane na cześć bóstw, bohaterów czy kartusze egipskich faraonów.

Nie ma wątpliwości, że poetka podziela punkt widzenia Andrzeja Bursy, który uważała, że *Poezja nie może być oderwana od życia*, którym to mottem rozpoczyna autorka mini-poemat pt. „od życia oderwani”, w którym opisuje kobietę współczesną, która pod wpływem mediów oraz reklamy traci tradycyjną funkcję „bogini ogniska domowego”. Węgrzynowicz-Plichta tako oto ją postrzega w tym mini-poemacie: (...)

przemineły w wolnych chwilach / współżyją z konkubentem // sic! z kopolantem dźwigając / bez skrępowania na swych // wyrzeźbionych przez siłownię / barków ubóstwiony grzech // cudzołóstwa; moda na szok / wpędza ich do jadowitej klatki // iluzji wyzerającej resztki / sflaczałych szarych komórek; // technologiczna bestia / przez sen podpowiada: // wypierając się zbrodni / unikniesz kary // (...) / co na obronę mają / dzisiejsze gospodynie domowe // że na wyścigi hurtowo / w sitkcomach się pławią // urok poezji wybił im z głowy / klucz do matury nowej // a szerszawiły polonista / stępił wrażliwość serca. Taka jest więc diagnoza współczesności w tym dyskursie poetki, a w niej upatruje ona kolejne imponderabilia tego, co dzieje się z ludźmi w świecie nas otaczającym.

Część pierwsza – „imponderabilia” – zawiera opis tych doświadczeń autorki, które dla niej właśnie takim rzeczami nie do końca określonymi są, a często dotyczą rozciągniętej w czasie tragedii syna. Wspominając jego 25. urodziny dowiadujemy się od poetki-matki, że (...) *jak inne niebiańskie dzieci / chociaż już jesteś pełnoletni / z misją przemierzasz wszechświat // gdy ja tu wśród śmiertelnych / w smutku niosę wdzięczności dar // próbuję miłosierdzie Boże rozpoznać / i bezbronna też się uśmiecham. Pozostając „poza nawisem” i pod ciśnieniem „(po)strachu” i „(nie)odbytej medytacji”, czując jednak, iż odradza się w niej pomimo wszystko i z niepewnością Bergsonowska *élane vital*.*

W tej drugiej części tomu – „spod prasy” poetka m.in. odśladania obecnie obowiązującą „nową” zasadę życia, pisząc: (...) *człowiek mocny nie musi być / silny tylko sprytny // nie musi być mądry tylko / rozgarnięty // resztę załatwi instynkt głodu życia.*

Również patrzeć ludziom „prosto w oczy” we współczesnych krajach może być podejrzane, bo to przecież jakby „przysięga złożona na wieczność”, lepiej „szczyścić” intencyjnie zęby, niż „głupio śmiać się bez przerwy” – konstatuje autorka. Równie odważnie i racjonalnie ironizuje na temat sondaży aborcyjnych, w których ich autorzy nie umieją rozróżnić zarodka, płodu od rzeczywistości, ludzkiego życia. Docenia powstanie druku (prasy Gutenberga), dzięki której nasza pamięć może tak funkcjonować przez wieki, choć z drugiej strony dodaje: *mieć dobrą prasę z cudem graniczy / świat na skandalach tylko się opiera // że nawet Syzyf nie mógłby spokojnie / pod górę taszczyć swojego kamienia // co rusz o jakiś romans posądzony / jak prasa węszy nawet wiatr ustaje.*

Równie interesująco została ukazana w wierszu – „Informatorka” chytryść na news Marata i kara za nią z ręki Charlotte Corday, która go zadźgała w wannie. Autorka piętnuje dalej kłamliwość prasy, ferowanie bezpodstawnych ocen i wyroków, przybierających na fali w czasie tzw. „sezonu ogórkowego”, na które trudno doczekać się sprostowań. Jako kobieta z detaliczną uwagą analizuje toalety, ubiory i makijaże kobiece. Nasłuchując nocnych rzegotów sroki myśli o upadku tożsamość użytkowników

sieci i przypomina, że utrata pamięci historii własnego narodu skazuje każdego na banicję. Zagłębia się również w kosmiczne uniwersum, by stwierdzić, że do jego poznania są konieczne nie tylko słońce i światło, ale również ludzkie emocje, pozwalające zobaczyć „horyzonty możliwych zdarzeń” i tańce *élane vital*. Przy tym pochwała obcowanie z „martwą naturą” jako alternatywą świata przesiąkniętego wariabilizmem, przyspieszającym narastanie w nim chaosu. Poetkę koi sen, cisza, pokorna postawa ludzi, ale i przypomina, że życie to teatr, który zawsze się musi skończyć, o czym sygnalizuje wygląd i losy naszych butów, a nawet ich kolekcji.

„(nie)cierpliwe naręcza rumianków” – to tytuł 3. części tego zbioru utworów poetyckich, w której początek nowego roku prowadzi do wielu remanentów w życiu, ale świadomość przemijania, która z kolei budzi wiele wątpliwości i niepewności co do przyszłości. Kolejne utwory zostają przez autorkę jakby zanurzone w zwalczających się żywiołach natury owocując bukietami zapachów, kolorów, przemijających fasad kwiecica i listowia. Wraca tu również pamięć, by przypomnieć jak to onegdaj bywało. Wartości nabiera spacer z przyjaciółmi w dzień imienin, o którym poetka pisze, że (...) *nie ma lepszego prezentu nad spacer / w gronie przyjaciół z kwiatowym akcentem* i dodaje w innym wierszu takie oto pytanie: (...) *jak można być stałym / w uczuciach gdy pory roku // zniewalając / swoim nieodpartym urokiem // raz kuszą by soczystą wiosenną / zieleni wielbić ponad stan // innym razem każą/zachwycać się złotem // inieni.*

Te doświadczenia na łonie przyrody i związane z wypełnionym tłumem miastem, podpowiadają jej, by „pokonać biegiem życie, uciekając światu”, ale i trzpiotowiwiatrowi, który raz gwizdże, włosy kołtuni, ubrania tarnosi, a innym razem zawodzi „rozmodlonym głosem”: „a spróbuj go załapać – dodaje – prawdziwy hulaka”. W takim świecie, np. na wsi „wibruje cisza”, „zieleni łaskocze niespokojne serce, „pękami wzbiera nadzieja”. W takim świecie pojawia się wiele „dzi(wacz)ków, np. kolorowe ptaki na odpuscie, które nie znoszą i nie wysiadują jaj, ale z przekąsem poetka dodaje: (...) *dobrze i niech tak zostanie / skoro Bogu nie udał się świat* (...). W pewnym momencie postrzega, chyba syna, który zrywa rumianki, śpiewa, w słońcu z każdym krokiem pięknieje, natomiast ona się już niczemu nie dziwi, bo to przecież znów pojawiają się te imponderabilia.

Nasz świat, i na tym polega obecnie jego sekret, staje się błyskotliwy i szybki dzięki internetowej percepcji, i wszystko dzieje się jakby „tu” i „teraz” w pełnej doskonałości formy oraz materii, a my dobudowujemy jeszcze do niego ścieżki naszych wspomnień z przeszłości, które multiplikują w nieskończoność sposoby jego postrzegania i obcowania z nim. I wtedy poetka odkrywa, że (...) *na fujarcie rzewnie gram / odkryciem dziwiwna // że motyli / trzepot skrzydeł // śpiewem.*

(Dokończenie na stronie 18)

Poezja publicystyczna

(Dokończenie ze strony 17)

Sięgając do tradycji krytyki literackiej, która po staniu się dyscypliną akademicką, w praktyce umarła i nie kształtuje już gustów publiczności, a więc nie jest publicystyczna, sadzę, że twórczość Węgrzynowicz-Plichty stanowi jakby jej odrodzenie (na)nowo, ale w jeszcze lepszej formie jakim jest jej dyskurs poetycki, społecznie i aksjologicznie zaangażowany w naszą codzienną powszechność.

prof. Ignacy S. Fiut

Magdalena Węgrzynowicz-Plichta, „imponderabilia”. Postowie: Magdalena Węgrzynowicz-Plichta (internetowe silva rerum), Wydawnictwo SIGNO, Kraków 2018, s. 120.

¹ Tadeusz Plichta urodził się 3 lutego w 1991 r., zmarł 23 września 2009 r. w szpitalu krakowskim, po sześciu tygodniach intensywnej terapii, na skutek powikłań po odniesionych obrażeniach, gdyż spadł z wysokości trzeciego piętra na terenie Fortu Łąpinka, kiedy brał udział w grach zespołowych ASG.

Wysokie sfery

Klasyczna powieść podporządkowuje sobie życiorysy i sytuacje dla uzyskania końcowego efektu, który zwykle zwieńcza się pointą. Mówi się o powieści zagadce, powieści moralitetowej, powieści z kluczem itd. W najnowszej prozie pojedyncze losy i sprawy nie podlegają nadrzędnej koncepcji, są otwarte. Dobrze skrojona powieść tradycyjna miała tę przewagę nad nowoczesną, że panowała w niej harmonia, ład i porządek. Napisanie jej było sztuką samą w sobie.

Nowatorska w intencjach i rozwiązaniach jest proza Ewy Marii Serafin pt. „Zamknięci w skale”. Pozornie nieuporządkowana, toczy się równo z życiem głównej jej bohaterki Anny. Zaczyna się niespodziewanie i kończy tak samo. Zdaje się ją tylko spinać motyw skamieliny, która jest utrwaleniem życia po wsze czasy, dopóki istnieje skała. Ten motyw pojawia się parokrotnie w powieści i daje wyjaśnienie jej wewnętrznego motywu – głodu życia.

Napisała autorka tak o tej skamielinie:

Na kanale pierwszym skośnooki naukowiec zapamiętał wali młotkiem w pozbawioną roślinności skałę. Jego wysiłki obserwują dwie młodziutki, seksowne asystentki, które odbierają od niego fragmenty łupków i troskliwie umieszczają w koszach, uplecionych z tamtejszego odpowiednika wikliny. Kamera powiększa jeden z kamieni i widać na nim odbity ślad obłogu stworzenia, skamielonego przed milionami lat. Cień przypomina owe

aurę, które zdarza mi się widywać u niektórych ludzi.

– Co one mają wspólnego ze skamieliną?

W następnym ujęciu ten sam mężczyzna jest w pracowni naukowej ośrodka uniwersyteckiego i opowiada o miliardach i 600 milionach lat dziejów Ziemi, wobec których historia ludzkości jest zaledwie epizodem.

Z tej perspektywy moja trzydziestka z hakiem to betka. Zamieniam kanał na informacyjno-publicystyczny.

Wielkie sprawy życia ludzkości na Ziemi, jakże poruszające fizyków i biologów – zgodnie z decyzją autorki – nie stają się więc przedmiotem jej szczególnej uwagi. Nie nauka, nie historiozofia zatrzymuje jej uwagę. Kieruje ją na świat otaczający narratorkę.

Skamielina to tylko pamięć, światło i intuicja, która utrwała życie. W świecie otaczającym mamy więc do czynienia nie z ocaleniem, ile z niszczeniem istnienia. Skamielinę zastępują tu korniki. Robaki da się pojąć nie jedynie dosłownie, lecz i metaforycznie, gdy Ewa Serafin stwierdza: *Jak bezrozumne robaki błądzimy w cementowych labiryntach naszego termitorium*. Tak zaczyna się szerokostrumienna rozprawa o życiu, która przyjmuje najczęściej barwy turpistyczne. Oto bowiem wiele z tego, co otacza narratorkę, a poraża ją obmierzłością.

Słowem, z wysokich poziomów rozważań o ludzkości w ogóle, narratorka schodzi ku chronicznemu zgłębianiu mankamentów i braków w codziennym życiu. Draży temat rzeczywistości na sposób isticie publicystyczno-historyczny, a jej punktem wyjścia i punktem dojścia jest twierdzenie, że „świat się ześwinił”. Zniechęcają ludzkie pozy, grymasy i mierność wewnętrzna. Bohaterka powieści jest redaktorką gazety telewizyjnej „Obiektyw”, który stanowi część „firmy”, to jest telewizji. A czym jest telewizja i ludzie w niej pracujący w tym czasie? – Ale także i ci, którzy kreowali rzeczywistość. – Również można określić to jednym zdaniem, wziętym z powieści „Zamknięci w skale”: *Kazio, prostolinijne chłopię, nie zrozumiałby, dlaczego dzisiejszy świat przypomina mi ogromny cyrk, w którym główne role grają świny*. Kazio – to dla jasności – jeden z bohaterów tej prozy.

Świat spraw przyziemnych, wrażeń – widziany przez autorkę pojawił się zapewne stąd, że jest ona dziennikarką, co nie oznacza, że sprawy wielkie usuwa z pola widzenia.

Myliłby się jednak ktoś, kto nazwałby ten świat jednorodnym.

Powieść zawiera wątki związane z miejscowością podwarszawską Dąbrowa, głównie jednak autorka „Zamkniętych w skale” opisuje środowisko dziennikarskie – ludzi związanych z gazetą „Obiektyw” – i środowisko twórców – z literatami, malarzami, rzeźbiarzami – ale także tzw. wyższych sfer – delegowana do obsługi prasowej, towarzyszy w podróży samolotem jednemu z byłych prezydentów.

Jak wspomnieliśmy, rzeczywistość w powieści Ewy Serafin przedstawiona jest z perspektywy widzianej przez soczewki turpistyczne. Krytyk tej książki, Janusz Termer, uznał że nie jest to wszak powieść ponuracka i miał rację, bo ukazywanie czy to wewnątrz domowych, czy wewnątrz osobowości ludzkich niekiedy jako odrażających – jest zabiegiem

świadomym autorki, która szuka wartości – owej „iskry w skale”.

Przy całym pejoratywnym odbiorze świata przez główną bohaterkę utworu, udaje się pisarce odzwierciedlić szeroką panoramę rzeczywistości obserwowanej i przeżywanej. Jest to powieść dotycząca współczesności, na co wskazuje wiele przedstawionych zdarzeń, choćby związane ze spotkaniem z byłym prezydentem, czy katastrofa smoleńska, przywołana na kartach tej książki. Oczywiście, często mamy do czynienia z uogólnieniami, tak więc niektórzy bohaterowie, pewne tytuły pism, rozliczne sytuacje, które mogły się zdarzyć naprawdę, autorka opatruje innymi nazwami, posuwając się do satyry, jak w przypadku nazwania pisma, do którego bohaterka przechodzi po opuszczeniu „Obiektywu” – „Gazetą Pcińską”.

Niech nie myli nikogo adnotacja w książce, mająca uchronić pisarkę przed odpowiedzialnością prawną, że: *Postaci w tej powieści zostały wymyślone albo występują w wymyślonych sytuacjach, co oznacza że mamy do czynienia z fikcją literacką. Fakt ten nie wyklucza posiadających wszelkie cechy prawdopodobieństwa skojarzeń z rzeczywistością*. Na pewno więc, jak zauważyliśmy, da się ustalić czas przebiegu akcji i niektórych wydarzeń tu opisanych.

Co zaś do postaci pojawiających się w książce, wtajemniczeni mogą je utożsamiać z konkretnymi osobami.

Jest to książka z głębią, wychodząca od podstaw jednostkowych, a osiągnąca swoje apogeum w spojrzeniu filozoficznym na świat. Jednak może razić w niej to, że wzorem całej współczesnej naszej kultury, autorka czasem posługuje się językiem zbyt publicystycznym, z jego naleciałościami anglosaskimi. Brak w tej powieści wyraźnie zaznaczonej akcji i w tej sytuacji przebieg wątków związany jest z losami głównej bohaterki. Znaczy to, że mamy do czynienia raczej z autobiografią. Ma ta książka swoje liczne atuty. Pierwszym jest odwaga, jaką trzeba powziąć, aby skusić się o sportretowanie współczesnego środowiska artystycznego Warszawy. Drugi to ten, że autorka z wnikliwością przedstawia otaczającą ją rzeczywistość. Na przykład na scenie opisującej zawartość torebki, z maestrią przedstawia drobniaczki, detale i rozliczne przedmioty, które ilustrują jej egzystencję. Jest w tej książce wiele scen, które każą podziwiać ten rodzaj realizmu Ewy Serafin, który nazwać musimy realizmem naturalistycznym. Kolejnym atutem książki jest penetracja różnych środowisk, nie tylko artystycznych, współczesnej Warszawy. Całość obrazów układa się w mieszaninę strzępów sytuacji, przemyśleń, licznych uwag. Tę powieść czytelnik musi dopełniać i scalać własną wyobraźnią, skojarzeniami i refleksją.

Ciekawa jest książka Ewy Marii Serafin – z pewnością godna przyznanej jej nagrody im. Witolda Hulewicza. Z tego, co nam wiadomo, wkrótce się ukáže następna jej powieść i już zyskała dobre opinie.

Stanisław Stanik

Ewa Maria Serafin, „Zamknięci w skale”. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 2018.

Grabków – miejsce utracone

Powrót do realiów tradycyjnej wsi w pierwszych latach XXI wieku może wydawać się ryzykowny. Wieś współczesna, „ucywili-zowana” i nowoczesna, wieś usiana antenami satelitarnymi, łącząca się za pośrednictwem telefonów stacjonarnych, komórkowych i Internetu ze światem – to temat czekający na twórców. Ale ta gdzieś z lat 60., czy nieco późniejsza, lecz nieodłączająca od tradycyjnego obrazu...? **Mirosław Osowski**, autor *Świniobicia* nie stara się z tej konwencji wyzwoić. Czy zatem jego utwory mają szansę trafić do współczesnego czytelnika?

Można by rzec, że także w aspekcie aktu twórczego nowość nie jest w tym przypadku kategorii *status nascendi*. Narrator w *Wizycie Jego Ekscelencji, Zaborowskim, Pogrzebie to dziecko*, w innych opowiadaniach jest człowiekiem dorosłym, który bądź ukrywa się za światem przedstawionym (*Świniobicie*), bądź pojawia się w roli członka wiejskiej społeczności (*Szwagier, Cielak, Zabawka*). Niekiedy mamy sytuację, że dorosły narrator wraca we wspomnieniach do czasów, gdy był dzieckiem (*Ja pan z pana, Niemry, Klempner, Rewolwer*). Można zatem mówić o sporym zróżnicowaniu w tym względzie, skoro w dodatku wspomnieniowy charakter opowieści zostaje niekiedy porzucony i centralną postacią stają się Lechu (*Świniobicie*) czy Szwagier (*Szwagier, Cielak*) albo Organiściak (*Zabawka*).

Świniobicie i nowe opowiadania Mirosława Osowskiego są zmienionym wydaniem zbioru opowiadań z roku 2003. Obie wersje różnią się na tyle, iż można powiedzieć, że mamy do czynienia z dwiema zupełnie innymi książkami. Część opowiadań ze zbioru z r. 2003 została włączona do obecnego, inne zaś autor usunął, a na ich miejsce dał nowe (*Matejko od aniołków, Zbrodnia, Smok, Cudzołożnica, Madame Bovary z Grabkowa*), przedstawiające także całościowe ujęcia ludzkich losów, życiowych historii. W wydanym w 2018 r. zbiorze pozostawił jednak te opowiadania z wydania z 2003 r., które podejmują problemy narodowościowe i ich ludzki, lokalny wymiar (*Niemry, Klempner i Rewolwer*).

W opowiadaniach Osowskiego, przy ich różnorodności, istnieje pewna nadrzędna wartość, oś tematyczna. Wszystkie one łączą się z Grabkowem i grabkowiianami, a wieś ta, usytuowana na ziemi łęczyckiej, staje się swego rodzaju miejscem utraconym, miejscem powrotu – ową niezapomnianą, utęsknioną małą ojczyzną. I jest to odkrycie podobne do tego, które staje się udziałem Wiktora Rubena – bohatera *Panien z Wilka* Jarosława Iwaszkiewicza. Istnieje w nim wręcz wewnętrzny nakaz, przymus podróży sentymentalnej w pamięci, wspomnieniach,

poszukiwaniach utraconego „raju młodości”. W opowiadaniach Mirosława Osowskiego znajduje potwierdzenie myśl wyrażona w wierszu Kazimierza Wierzyńskiego *Ktokolwiek jesteś bez ojczyzny: Bo nie ma ziemi wybieranej./ Jest tylko ziemia przeznaczona*.

W jakiejś mierze owo przywiązanie do rodzinnego Grabkowa odpowiada związkom Wincentego Burka z Ocinkiem czy Stanisława Młodożeńca z Dobrociami. A przecież byli i inni twórcy literatury chłopskiej z pobliskich stron: Stanisław Czernik z Zochcina pod Opatowem, Stanisław Piętaś z Wielowsi i Julian Kawalec z Wrzaw pod Tarnobrzegiem. I można by odnaleźć pewne twórcze pokrewieństwa między Mirosławem Osowskim a niektórymi spośród wymienionych pisarzy. Programowy wyróżnik z artykułu Czernika: *Jeśli w wierszu ma być ciało, krew, życie – musi jego materiał być autentyczny – w przeciwnym razie pozostaje zbiorowiskiem pustych słów*, wydaje się być bliski także prozie autora *Świniobicia*.

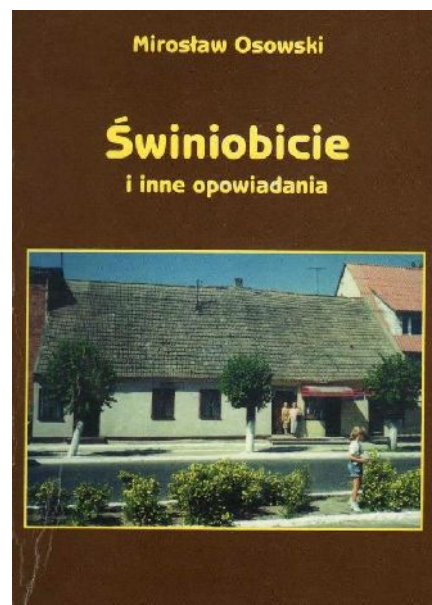
Grabków jako miejsce zdarzenia, powrotu po latach, miejsce koegzystencji Polaków, Żydów i Niemców, losy grabkowie – to różne przejawy owego statusu *glebae adscriptus*, pewnej wierności swym korzeniom. Jawi się ta wieś w swym archetypie swojskości, bez piętna wyjątkowości czy nadzwyczajności, jednakże z urokami lokalnego kolorytu, barwnością postaci, sankcją łagodności nawet wobec ludzkich konfliktów czy dramatów.

Opowiadania Mirosława Osowskiego są ciekawe, sprawnie napisane i niewątpliwie dobrze się je czyta. I nie jest rzeczą najważniejszą, że przynoszą obraz wsi tradycyjnej, bez akcesoriów nowoczesności. Osowski nie dąży w swych opowiadaniach do pokazania „etnograficznego” obrazu wsi, chłopskiej obyczajowości, tradycji, przywiązania do ziemi. Nie panuje tu wszechwładnie gwara jak np. w najwcześniejszym utworze Osowskiego, filozoficznej *Bajce o gadającym koniu*, nie ma drobiazgowych opisów chłopskich zajęć czy prac (nawet kiedy można by tego oczekiwać – jak w opowiadaniu *Świniobicie* czy *Cielak*). Pisarza interesują konkretne sytuacje, a przede wszystkim ludzie. Potrafi interesująco ukazywać różne postaci w banalnej codzienności i w całym ciągu życiowych doświadczeń. I daje się w tym odnaleźć pokłady wrażliwości, humanizmu, ciekawości badacza ludzkich charakterów. To ludzie nie pozbawieni słabostek, wad, małościowości, zarazem jednak tak bardzo autentyczni w przeżyciach i doznaniach. Czasem padają ofiarą własnej słabości, czasem są uwikłani w „sida” losu, niekiedy noszą z sobą bagaż uprzedzeń i nietolerancji. Ale są też sarmacko otwarci, beztroscy, spontaniczni, dziecinnie śmieszni w swych potknięciach i tęsknotach.

Wszystko to przedstawia Mirosław Osowski prostym, oszczędnym językiem, bez rozbudowanych zdań i wyszukanego słownictwa. Trzeba przyznać, że taki styl prezentowania postaci i opowiadania o ich losach jest funkcjonalny, przekonujący. Widać w warstwie narracyjnej i opisowej dobrą znajomość wiejskich realiów, zainteresowanie

wsią i jej mieszkańcami, humanitarną więź i poczucie wspólnoty. Osowski nie pokazuje chłopa „przykutego do ziemi”, jego bohaterowie wykonują różne zawody, realizują życiowe powołania lub pokazywani są, ujawniają swe osobowości w różnych życiowych sytuacjach. Niektóre opowiadania zawierają całościowe ujęcia fabularne, mają wyraziste zakończenia, inne stanowią „wycinek” zwyczajnego życia, codzienności. Pisarz wyraźnie opowiada się po stronie podstawowych ludzkich wartości, artykułuje potrzebę wrażliwości na drugiego i tolerancji. Trudno byłoby przypisywać opowiadaniom Osowskiego walor oryginalności, nie są one też ani zupełnie nowym spojrzeniem na wieś, ani – tym bardziej – obrazem wsi z początku XXI wieku. Ale sądzę, że to ciekawe, sprawnie i żywo opowiedziane historie ludzkie, przypominające dawne gawędy. Historie, które wciągają czytelnika, odkrywają sporo prawdy o człowieku, „brzemieniu spraw ludzkich”. To opowieści wiarygodne, nacechowane prostotą i humorem, ale i jakąś mądrością odwiecznych prawd naszej egzystencji. I ta ich wartość jest sporym czytelnicznym atutem.

Ryszard Mścisz



Mirosław Osowski, *Świniobicie i nowe opowiadania*. Stalowa Wola 2018.



Rys. Barbara Medajska

Kamienne kręgi

Opowieść z domu dla obłąkanych

Patrzyłem z pewnym uczuciem przez okno, zaopatrzone w solidną kratę, leżąc na jednym z trzech łózek. Za okratowanym dawno temu zapewne oknem słychać było raz po raz kursujące tam i z powrotem karetki pogotowia ratunkowego. Mijały sekundy, za oknem z nieba lała się stal, szumiały lekko wiekowe drzewa, których nie potrafiłem rozróżnić. Było koło 16-tej, a to znaczyło, że niedługo podadzą nam kolację. Zwykle jedna posmarowana tanim dżemem kanapka, niedoparzona w ogóle herbata i czasem małe, chrupiące ciastko, jakiś krakers albo herbatniki. Na zewnątrz było martwe morze, a pośrodku niego staliśmy my wszyscy, tęskniący do szczęścia, którego nam poskąpiono i to już na starcie życia.

Bo my tutaj zamknięci na oddziale obserwacyjnym, nie mieliśmy pomysłu na dalsze życie, ani dość siły, aby żyć samodzielnie. Patrząc przez okno, marzyłem o wolności. Kiedyś ją zwrócą – póki co siedzimy. Nikt tu nikomu nie przeszkadza, stanowimy pewnego rodzaju społeczny eksperyment, czyli budujemy naszą własną, niezależną od zewnętrznych spraw, społeczność.

Mogłaby stanowić nawet wzór życia w społeczeństwie, gdzie każdy każdemu wilkiem. U nas nie, u nas nie ma nienawiści, dość się już jej nawdychaliśmy w świecie, zanim trafiliśmy wszyscy tutaj.

Jeszcze pamiętam te chwile, kiedy mnie tu przywieziono, ambulans wprost spod kościoła ojców dominikanów. Mój samochód, którym sam przemierzyłem pół kraju, jadąc z południa na północ, został nieprawdopodobnie zaparkowany po przeciwnej stronie świątyni, koło bankomatu pekao. Mimo prób nie wypłacał gotówki, więc dalsza jazda, a celem było morze, tu się musiała zakończyć. Na całą drogę, przemierzaną starym, czerwonym maluchem, wzięłem sto złotych, co w tamtych czasach nie było o wiele więcej niż dziś. Ojciec esemesował, że pieniądze wysłał, a bankomat dalej swoje – „za mało środków na koncie”. Jak mnie wkurzają te wszystkie komendy, którym jakaś pani użycia specjalnie ostrego głosu. Trochę jak na dworcu kolejowym, taka pociągowa subkultura.

Nie wiedziałem, siedząc na izbie przyjęć, oddawszy wszystkie ostre rzeczy osobiste, nawet karty bankomatowe, ile czasu przyjdzie mi tu spędzić. I jak go zorganizuję, bo tutaj panowały inne prawa czasu niż wśród żywych w mieście. Czas zwalniał, niemal do zera, był pusty, bo na oddziale prócz porannej gimnastyki i ping-ponga, nie proponowano żadnych zajęć. Kiedy byłem w innym szpitalu, zajęć było multum, ale to osobny temat. Póki co sytuacja wyglądała tak: postanowiwszy pojechać do stryja prawie nad morze, źle obliczyłem finanse, skąd mogłem wiedzieć, że zmuszony będę przenocować w jakimś motelu-zajeździe, który

nie wiem, czemu budził skojarzenia z czerwoną oberżą. Nocleg otrzymałem, nawet pokój dwuosobowy. Zamiast spać oglądałem telewizję, która przesyłała mi komunikaty i informacje, przygotowane specjalnie dla mnie. Spikerzy zwracali się tylko do mnie, nie dając poznać, że tak jest, ale ja byłem bardziej podejrzliwy. Kiedy w końcu zasnąłem, nadszedł wczesny poranek 19 czerwca roku, kiedy polowano na biznesmenów, a ja poczułem nagle, że muszę wyjechać natychmiast, bo miejsce było bardzo podejrzane, pani z recepcji dziwnie się uśmiechała, jakby w jakimś zastygłym grymasie, jakby chciała mi albo komuś innemu coś przekazać, jakąś dalszą wskazówkę.

Niewiele myśląc, postanowiłem wyjść przez okno, bo pokój był na parterze i wyjechać. No, tak, ale co z dowodem osobistym, który został na recepcji?

Mniejsza z tym, prześlą mi pocztą. Co też później się stało. Spakowałem niewielki bagaż i uciekłem na parking, wsiadłszy do malucha, odpaliłem i ruszyłem na Poznań. Myślałem, że pieniądze się jakoś cudem znajdą, że zatankuję i ruszę dalej na północ, do jednego z większych miast, gdzie działał stryj-humanista. Jego biblioteka przyprawiała o palpitację, ilekroć go odwiedziałem. Humanistą również byłem ja, ale daleko w tyle za sympatycznym, towarzyskim stryjem.

Tak więc podróż skończyła się wraz z paliwem, zanim osiągnąłem cel. Zajechałem pod klasztor, gdzie znajomy, znany w Polsce ojciec, kazał posługującej dziewczynie zrobić mi śniadanie. Kiedy jadłem, zgasła elektryczność. Dziewczyna spytała mnie, czy znam się na korkach, czyli bezpiecznikach. Niestety, nie znałem się i ostrzegłem, żeby uważała za przykładem, na co dziwnie się uśmiechnęła. Po śniadaniu wyszedłem za furkę i stanąłem na chodniku. Jeszcze ostatnia próba bankomatu i nic. Wtedy dopiero olśniła mnie sytuacja, w jakiej się znalazłem – sam w obcym, nieznanym mieście. Potęgował się strach, wlewał do żył i płynął tętnicami, powodując kołatanie i skoki ciśnienia. Wtedy wyjąłem telefon i wykręciłem numer 112. Po chwili zaczęła się rozmowa.

Przyjechali w kilka minut. Ambulans przystanął, otwarto boczne drzwi, wszedłem do środka, a kierowca ruszył ostro w prawo, mijając klasztor i kierował się obok banku pekao ulicą w górę, aż do Świętego Marcina. Po zmierzeniu parametrów życiowych, zawieziono mnie na Szpitalną, gdzie istniał szpital dla nerwowo i psychicznie chorych. Na izbę wypytano niemal o wszystko, jaka data, gdzie jesteśmy, skąd się tu wzięłem, skoro pochodzę z Krakowa i czy na coś się lecę. Oczywiście, że wiedziałem wszystko, powiedziałem też, że od kilku lat lekarze próbują mnie „wyleczyć”, wypisując recepty na pigułki, które rzeczywiście trochę pomagają. Nie jestem kimś, kto neguje wartość leczenia duszy w ramach psychiatrii.

Przeciwnie – wielu ludziom pomoc może już tylko chemia, bo sprawy zaszły za daleko i sami stamtąd, skąd ja wracam, powrócić nie mogą. Zawieszeni między tym, a „tamnym” światem, jakoś jednak sobie radzą, choć raczej spośród nich trudno byłoby wyłonić noblistę.

Dni i noce zlewały się w jedno. Przestrzeń życiowa skurczona do korytarza, sali jadalnej, palarni i sal chorych. Całymi dniami pacjenci włączają się bez sensu i bez celu po całym oddziale, a pielęgniarki izolują się, siedząc w dyżurce przed telewizorem. Czasem pacjent poprosi o wyjście, jeśli ma do nich prawo, czasem ktoś przyjdzie w odwiedzinach. Główne zdarzenia codzienne to leki o regularnej porze, gimnastyka, spacer i posiłki. Część pacjentów z sanatoryjnego (łżejszy niż obserwacyjny) wychodzi na ogród, inni na tarasie palą papierosy, a wysoko w górze na pobliską Ławicę zniżają lot kolejne samoloty, a inne wznoszą się w przestrzeń nad naszymi rozpalonymi głowami, które sądzą, że koniec świata jest już zglepany.

Co chwila szedłem do palarni, umierając z nudów. Po przejściu psychozy, kiedy zdawało mi się, że dostąpiłem olśnienia, a nawet oświecenia, przypłatała się melancholia. Tak, jak ci, których przywrócono do życia, mieli to za złe ratującym ich lekarzom, tak i ja byłem zły, że za pomocą końskich dawek leków przeciwpsychotycznych, zmuszono mnie, aby zniżył lot i wylądował, choćby to miało być twarde ładowanie.

Mijały godziny, a ja nie widziałem poprawy. Otwartą książkę zamykałem po pierwszych kilku stronach – psychiatrzy nazywają to „dekoncentracją”, albo „rozkojarzeniem”, a w skrajnych przypadkach zupełną dezorganizacją działania. Psychoterapii nie było wcale, za to czasem przybywał kapłan, spowiadał, kto chciał, rozdawał komunię świętą i błogosławił nam na koniec.

Mury, które mijałem, były jak więzienie, oczywiście z lepszą perspektywą. Tu można przecież wypisać się na własne żądanie. Zrobiłem tak po miesiącu pobytu tutaj, gdzie panuje przypadek, chaos i stałe sytuacje graniczne, spośród których temat „winy-kary” jest chyba najbardziej zauważalny. Kupiłem sobie w kiosku, wyszedłszy niepostrzeżenie i nielegalnie poza bramę wjazdową, zwyczajny brulion, wróciłem na oddział, wzięłem długopis od stewardesy z dyżurki, zamknąłem się w sali nr 43, a potem spróbowałem poprzelawać na papier emocje, jakie miałem zapiekłe od lat. Nie szło mi to, co odkryłem po pierwszym przeczytaniu fragmentu.

Cóż, wszystko przede mną – pomyślało mi się. – Nie każdy od razu musi być Dostojewskim – dodałem pod nosem. Jednak nie mogłem pisać – ręka, źle ustawiona w szkole, łapała „kurcz pisarski”, co uniemożliwiało rozwój tych talentów. Laptopa, tego dziś nieodłącznego elementu codzienności wtedy jeszcze nie posiadałem.

Potem, gdy ojciec przyjechał, wiedziałem, że muszę wrócić do życia za wszelką cenę. W swoje urodziny wsiał w pociąg i przyjechał, wcześniej zakupiwszy bukiet róż dla lekarki, która przez miesiąc postawiła mnie na nogi. Nie widziałem już procesji na mieście, nie mogłem porozumiewać się już telepatycznie, tylko normalnie, słowami, straciłem „dar” uzdrawiania i inne nadzwyczajne zdolności. Płaciłem za nie za drogo. Oddawszy się w ręce lekarzy, może nie popełniłem dużego błędu. Przecież życie polega na ich popełnianiu. W południe 18 lipca opuściliśmy z ojcem Poznań, gdzie się rozebraliśmy wszystko. Ale już na horyzoncie...

Rafał Sulikowski

Filozofia codziennosci

prof. Marii
Szyszkowskiej (146)



Fot. Andrzej Dębowski

Nadajemy pozór racjonalności naszym decyzjom. Rozwój wyobraźni, troska o zachowanie własnej wrażliwości i kształtowanie charakteru – w tym odwagi oraz siły woli – pozostaje poza edukacją szkolną. A wszak wiele dzieci rodzi się w rodzinach, które nie nadają się do wychowywania i zaszczepiania takiego wysiłku lub w rodzinach, które nie mają czasu na wychowywanie dzieci. Problem staje się bardzo poważny w naszych czasach, bowiem zgoda na czytanie bryków sprawia, że minimalny jest wpływ literatury pięknej na wzrastające pokolenie. A z niej można by wiele się nauczyć i czerpać cenne inspiracje.

Kazimierz Dąbrowski przełamał utrwalaony pogląd, traktowany jako oczywisty, że człowiek powinien dostosowywać się do społeczeństwa. Jest to przełom rewolucyjny, mający znaczenie teoretyczne oraz praktyczne. Koncepcja pozytywnego nieprzystosowania do świata jako prawidłowa postawa ma znaczenie dla filozofów, psychologów, pedagogów. Ma znaczenie dla każdego, kto chce odnaleźć poczucie sensu własnego istnienia.

Myśliciel ten stworzył pojęcie pozytywnego nieprzystosowania naruszając tym samym utrwalaony od pokoleń pogląd, że człowiek ma się przystosowywać do otoczenia. Wykazał, że przystosowanie nie służy rozwojowi indywidualnemu. Świadczy o braku własnej hierarchii wartości lub o konformizmie. Pozytywne nieprzystosowanie zawiera bunt wobec obiegowych wartości. Człowiek powinien być przystosowany do tego, co być powinno. Powinien być przystosowany do ideałów, a nie do krytycznie ocenianej przez siebie rzeczywistości oraz do krytycznie ocenianych przez siebie teorii.

Powszechność wyznawanych poglądów budzi w każdym z nas mylne przeświadczenie, że są one trafne. Nacisk powszechnie wyznawanych poglądów jest tak znaczny, że wymaga budowania w sobie odwagi, by od nich odstawać. Nikt nie rodzi się ani odważny, ani tchórzliwy. Innymi słowy, pozytywne nieprzystosowanie stanowi prawidłową drogę rozwojową, która wymaga dużego wysiłku.

Nikt, zwłaszcza większość, nie jest nosicielem jedynie prawdziwego poglądu. Nikt nie ma monopolu na prawdę. Świadomość tego powinna pomagać tym, którzy wybierają pozytywne nieprzystosowanie do świata. Pozytywne nieprzystosowanie jest wyrazem wolności wewnętrznej człowieka, który zdaje sobie sprawę z tego, że nie ma modelu człowieczeństwa, który z koniecznością musielibyśmy powielać w naszym życiu. A skoro jesteśmy wolni wewnętrznie – nawet w warunkach zewnętrznego zniewolenia – to znaczy, że oczywista powinna być w tej sytuacji postawa tolerancji.

Kazimierz Dąbrowski nakłaniał do tego, by hamować skłonność do oceniania innych. Należy starać się ich rozumieć, być życzliwym, a nawet empatycznym. Nie należy podejmować prób ustalania tego, kto ma rację i nie należy też „nawracać” na własne poglądy. Z teorii Dąbrowskiego wynika wskazanie, by nie tracić odwagi z powodu braku akceptacji środowiska w którym się egzystuje.

Nie ma wartości uniwersalnych. Funkcjonuje wiele odmiennych systemów wartości, nawet w obszarze jednej kultury. Natomiast nie można naukowo wykazać, że określony system jest prawdziwy, zaś pozostałe są nieprawdziwe. Świadomość uprawnienia rozmaitych punktów widzenia – przejaw umiarkowanego agnostycyzmu – jest zespolona z koncepcją pozytywnego nieprzystosowania.

Każdy człowiek ma jakiś pogląd na świat, który jest rezultatem przemyśleń, doznań, przeżyć, intuicji. Żadnego z nich nie można ocenić jako prawdziwy albo nieprawdziwy. Ponadto światopogląd we wnioskach wychodzi dalek niż pozwala na to logika przesłanek naukowych na których jest oparty. Każdy zawiera sądy wypowiadające coś o świecie, jak również normy regulujące postępowanie oraz poglądy na temat wartości. Pozytywne nieprzystosowanie to postawa przeciwstawna konformizmowi. Stąd szczególnie aktualność teorii Dąbrowskiego, bowiem deprawujący człowieka konformizm szerzy się w Polsce w ostatnich dziesiątkach lat. Pozytywne nieprzystosowanie stanowi wyraz jedności myśli, słów i działań. A więc jest spełnieniem ideału starożytnych filozofów. Koncepcja pozytywnego nieprzystosowania ma źródło w poglądach Masłowa, który podkreślał, że należy przewyższać uzależnienia od ludzi. Na drodze niezależniania od świata w którym żyjemy osiągamy własną autentyczność.

Żyjemy w epoce globalizacji, w której miały funkcjonować różnorodne poglądy, a w rzeczywistości zaznaczają się silne tendencje przystosowawcze. Ponadto sukces, bogacenie się, czyli niższe wartości oddziaływują z wielką siłą poprzez kulturę obrazkową, czyli kulturę mediów. Słysz się absurdalne stwierdzenia obwieszczające śmierć ideałów. Na tym tle wyrasta szczególnie znaczenie teorii Kazimierza Dąbrowskiego i jego koncepcji pozytywnego nieprzystosowania.

Istnienie człowieka toczy się nie tylko w wymiarze biologicznym i kulturowym. Szczególną rolę pełni świat ideałów, czyli świat na miarę tęsknot człowieka i do niego

należy się przystosowywać.

Warto tu zaznaczyć, że koncepcja demokracji w XXI wieku ma związek z pozytywnym nieprzystosowaniem człowieka. Otóż właściwością demokracji, nierozdzielnie z nią związaną, jest neutralność światopoglądowa państwa, która w naszej konstytucji jest nazwana bezstronnością. Kolejne właściwości demokracji to wieloświatopoglądowe społeczeństwo oraz wielopartyjne. A więc w naszych czasach, w kulturze europejsko-amerykańskiej, aprobeuje się różnorodność wszelkich poglądów na świat. Postawa przystosowawcza – tradycyjnie narzucana w procesach edukacji i funkcjonująca wciąż w nauce – jest sprzeczna z pluralizmem zespolonym z ustrojem demokratycznym, który ocenia się obecnie jako najwłaściwszy.

W Polsce, w warunkach deklarowanej demokracji, narastają postawy przystosowawcze. Stąd znaczenie sztuki i literatury pięknej. Otóż obcowanie z dziełami artystycznymi i literackimi pomaga w uświadamianiu sobie, które z wyższych wartości są nam bliskie. Dzieła te przybliżają wzory do naśladowania i wnoszą ponad problemy materialne. Sztuka i literatura piękna poruszając wyobraźnię i uczuciowość odbiorcy pomaga w kształtowaniu postawy pozytywnego nieprzystosowania do świata.

Koncepcja pozytywnego nieprzystosowania była w Polsce urzeczywistniana w działaniach Laboratorium Higieny Psychicznej, o którym była już mowa.

Pozytywne nieprzystosowanie wyzwala od nacisków, by przystosowywać się do panującego światopoglądu, czyli takiego, który w danym miejscu i czasie jest uznawany za najwłaściwszy. Mamy wprawdzie ograniczone możliwości poznawcze i spory światopoglądowe są nierozstrzygalne, ale możemy dokonywać wyborów. Jeśli są autentyczne, to ten trud przynosi poczucie sensu życia.

Człowiek pozytywnie nieprzystosowany będzie tym, czym sam siebie uczyni. A więc osiągnięciem autentycznością w znaczeniu zgodności z własnym ja.

Zbyt często bierność i wygodą biorą górę w naszym życiu, co sprawia, że unikamy działań i ograniczamy się do narzekania. Zamiast zmienić coś w życiu lub przynajmniej starać się o to – szukamy kogoś, komu moglibyśmy wyzalać się na swój los. Nie wolno jednak poddawać się i pogrążyć w cierpieniu. Poznawanie ludzi, rozmowy z nimi, działania, odwracają uwagę od nadmiernego, niekorzystnego rozpamiętywania rozczarowań i niespełnionych marzeń.

Zdarza się, że osoby narzekające nie oczekują naszej pomocy. Chcą się tylko wyzalić. Przed takimi spotkaniami należy się bronić, ponieważ odbierają nam energię, osłabiają. Jestem przekonana, że zmniejszłyby się w naszym życiu rozmiar narzekań o ile staralibyśmy się naginać świat do naszych oczekiwań. Innymi słowy, zbyt mało jest w nas buntu i zbyt wiele chęci przystosowywania się do oczekiwań innych ludzi.

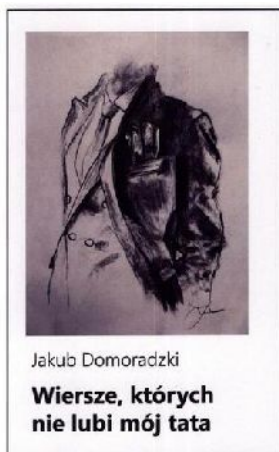
cdn.

Maria Szyszkowska

Potem – nieważne

Jakub Domaradzki, poeta, student filozofii, członek Stajni Literackiej Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Warszawie, miłośnik kina, historii i gór, debiutując zbiorem poezji *Wiersze, których nie lubi mój tata*, trudnym do zakwalifikowania. Motywami przewodnimi są w tomie Domaradzkiego: kobieta; jej ciało, poezja, oraz rozmowa z Bogiem – Ojcem – stwórcą świata ludzi i wszystkich istot żywych..

W *Wierszach, których nie lubi mój tata*, nie dosłownie, ale jasno, wyodrębniony zostaje pogląd na poezję, na to kim jest poeta. A jest on miernym pisarzem, posiadającym ręce: „które chciałyby być zakrwawione/krwią walki za własne słowa”, ale są „tylko brudne od asfaltu/ z parkingu sąsiada” (*Ręce poety*). Poeta jest archiwistą zbędnych rzeczy, katalogiem mało znaczących wizji lokalnych, istniejących: „żeby dokończyć to,/ o czym malarz zapomniał.” (*), oddzielnym elektronem po za materią, po za otoczeniem, aby lepiej zrozumieć nieistotne.



Jakub Domaradzki
**Wiersze, których
nie lubi mój tata**

Czytając tomik Domaradzkiego odniosłem wrażenie, że jego fascynację filmem, historią i górami zeszyły na dalszy plan, ustąpiwszy aspektom poetyckiej egzystencji. Scenariusz zostaje zburzony pod koniec, gdy autor przedstawia trzy, inspirowane doświadczeniem podmiotu lirycznego, fraszki, wprowadzające nutkę humoru i satyry. Wątek filozoficzny całkowicie pominięto, ale zarazem uwydatniono, importując scenki z codziennego życia.

Indyfikując z postacią ojca, z jego tytułową dezaprobata, Domaradzki piszę przejmujący utwór *Laurka dla taty*, będący rozliczeniem z przeszłością, z dzieciństwem, młodością. Przedstawiona w nim laurka nigdy nie powstała, ale przypuszczalnie: „byłaby nawet radosna (...) byłaby przesycona ciepłym/kolorem (...) szumiałaby ciepłym wiatrem (...) byłaby szara i zimna”. Imaginowana koncepcja nie zmaterializowała się, ponieważ: „to piękne dzieciństwo” było na tyle wspaniałe, że nie liryczne „ja” nie potrzebowało zastępczego źródła uwielbienia.

Wiersze, których nie lubi mój tata są nowym nurtem we współczesnej poezji polskiej, mocno nasyconej bezmyślnymi tekstami. Jakub Domaradzki niezwykle sugestywnie proponuje czytelnikowi stworzoną przez siebie rzeczywistość, pełną meandrowpouczeń, porównań i niedopowiedzeń. Zmąconą wyobraźnia podsuwa niekoniecznie warte rozstrzygnięcia zagadnienia, które poeta z ironią przemycza i inteligentnie wyjaśnia.

Paweł M. Wiśniewski

Jakub Domaradzki, *Wiersze, których nie lubi mój tata*. Wydawnictwo Mamiko, Nowa Ruda 2017.

Gdy pochłonie nas las

Literatura rosyjska, wstyd przyznać, nigdy szczególnie nie była moją ulubioną. W liceum czytałem *Mistrza i Małgorzatę* Michaiła Bułhakowa oraz *Zbrodnie i kare* Fiodora Dostojewskiego (obie należą do kanonu ulubionych), ale to było wszystko, na czym zakończyłem znajomość z dorobkiem naszego Wielkiego Brata ze Wschodu. Książki rosyjskie były nieco niezrozumiałe i mało atrakcyjne pod względem treści, ale przede wszystkim odbiegały od zachodniego stylu.

Stosunek do niej uległ diametralnej zmianie po lekturze *Grzybni Jeleny Czyżowej*, urodzonej w 1957 roku, autorki, laureatki Rosyjskiej Nagrody Bookera, nominowanej do Literackiej Nagrody Europy Środkowej i Wschodniej 2017, będącej wybitną, w moim odczuciu, pisarką, ale także znakomitą analityczką współczesnej rzeczywistości w Federacji Rosyjskiej. Rejestrowanie zachowań poszczególnych postaci, pierwszoplanowych jak i drugoplanowych, zawiera prawdę o bieżącym stanie, nie do końca przeprowadzonych przemian. Ich brak prawdopodobnie jest spowodowany, w dalszym ciągu, nadrzędną rolą państwa totalitarnego, popuszczającego niewolnicze pęta, lecz nadal kontrolującego wszystkie dziedziny życia. Czyżowa będąca naocznym świadkiem rozpadu imperium, na własnej skórze doznając oczyszczenia, polegającego na rozliczeniu z przeszłością. Wydrapująca pazurami kolejne etapy nowoczesności, korumpując, oszukując i zastraszając naród tak, aby nie pozostawić śladów.

Powieść Czyżowej nie jest przedstawieniem wyłącznie rozliczeń z przeszłością, posiada charakter głębszy, charakter wystraszający zmysły czytelnika, by ten odczytywał ją na nowo, z każdą stroną i rozdziałem (a jest ich siedem, bo siedem jest dni tygodnia), by uległ magii świata, z jednej strony realistycznego, a z drugiej metafizycznego, skrytych w przemysłeniach bohaterów, życiowych planach, utraconych marzeniach i

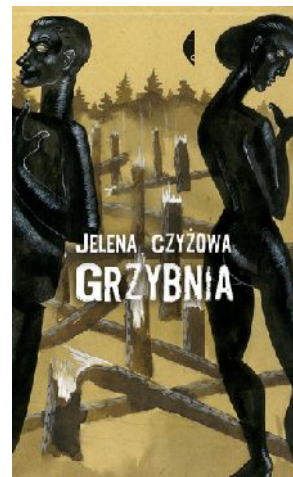
nie spełnionych nadziejach.

Grzybnia wymaga podziału na dwie części – na dotyczącą Jego – mężczyzny w średnim wieku, zakompleksionego tłumacza, niezadowolonego ani z transskryptowanych tekstów, ani z roli jaka przypadła mu w konkretnym punkcie dziejowego zakrętu, człowieka, przez całą niemalże książkę nie potrafiącego rozwiązać problemu zepsutego zamka, i odnosząca do Niej – kobiety młodej, ale wciąż podobającej się płci przeciwnej, obarczonej grzechem buntu wobec rodziców (wbrew ich woli zostaje handlowcem), poszukującej sensu istnienia. Osiągnąwszy sukces na polu zawodowym, „przegapiła” życie prywatne: miłość, szczęście, rodzinę, dziecko, o którym mówi: „On pewnie będzie pisał po włosku, ale jego ojczyzną jest Rosja. Ten kto ma zostać pisarzem powinien poznać i pamiętać”. Utopijny syn, namaszczony przez staruszkę z sąsiedniej działki, uosabia cechy zachodniej kultury jak i rosyjskiej duszy, odmiennej od tego co proponują Europa.

Jelena Czyżowa trafnie nakreśliła sylwetki dwójki różniących się mentalnie i fizycznie ludzi w pewnym momencie krzyżujących swe losy w jednym miejscu, doprowadzając, najpierw do wrzenia, a następnie do zrozumienia i akceptacji. Czy przyczyną tego jest las, czy grzyby, które jak wiadomo: „to szczególne istoty: ani rośliny, ani zwierzęta...”. Odpowiedz nie jest łatwa, a ponadto przestrzega przed niezaplanowanym efektem konfrontacji za własnymi demonami.

Relacja pisarki imputuje analogię do dzisiejszych struktur społeczno – socjologicznych sięgających o wiele głębiej niż Rosja. Warstwowe odkrywanie sensu powieści powodują zamierzone i niezamierzone skutki, kryjące makabryczną prawdę o dążącej do samozagłady ludzkości. Nie pomyślność prowadzi do konfiskaty wyznaczonych w konkretnym pionkom na szachownicy celów. Ruchy wojsk przebiegają płynnie aż do dochodzą do rozwiązania bez wyjścia. Poprzedzające mat zdarzenia ignorowane z całą zawziętością mszczą się okrutnie utrwalając wieczne blizny.

Paweł M. Wiśniewski



Jelena Czyżowa, *Grzybnia*. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2017.

POEZJA

Julia Fiedorczyk, *Psalmy (2014, 2017)*. Opracowanie graficzne, ilustracje: Artur Skowroński. Fundacja na rzecz Kultury i Edukacji im. Tymoteusza Karpowicza, Wrocław 2017, s. 60 + CD.

Dorota Filipczak, *Rozproszone gniazda czułości. Wybór wierszy 1994-2016*. Posłowie: Wojciech Ligęza. Projekt graficzny serii: Magda Dębicka. Na okładce wykorzystano obraz Grzegorza Steca *Obecność*. Zdjęcie autorki na IV stronie okładki: Anna Kępa. Krakowska Biblioteka Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, tom 28. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Kraków, Kraków 2017, s. 206.

Wojciech Głogowski, *Muzeum Dusz Czyśćcówych*. Zdjęcie na okładce: Tomasz Mieloch. Biblioteka Poezji / Biblioteka „Toposu”, tom 151. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2018, s. 56.

Ewa Jarocka, *Dno cekina*. Opracowanie graficzne: Artur Skowroński. Fundacja na rzecz Kultury i Edukacji im. Tymoteusza Karpowicza, Wrocław 2017, s. 72.

Stanisław Jaworski, *Którędy*. Projekt graficzny serii: Magda Dębicka. Zdjęcie autora na IV stronie okładki Bożena Boba-Dyga. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Kraków, Kraków 2018, s. 96.

Magdalena Kapuścińska, *W poszukiwaniu siebie*. Posłowie: Jarosław Petrowicz. Projekt okładki: Magdalena Kapuścińska. Oprawa graficzna okładki: Agnieszka Owczarzak. Wydawnictwo autorskie Magdalena Kapuścińska, Wieluń 2017, s. 52.

Janusz Koryl, *Dzwonek na przerwę*. Grafiki Ryszard Sziler. Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2018, s. 48.

Anna Matysiak, *Tyle nieznanych ryb*. Ilustracje i zdjęcie na okładce: Anna Matysiak. Projekt okładki: Jakub Rakusa-Suszczewski. CONVIVO Anna Matysiak, Warszawa 2018, s. 58.

Kazimierz Nowosielski, *Jakby spokój*. Projekt graficzny okładki: Konrad Glos. Na okładce obraz Kiejstuta Bereżnickiego *Chłopiec z klatką*, 2000. ARCANA, Kraków 2018, s. 80.

Jan Polkowski, *Pochód duchów*. Zdjęcia z archiwum Jana Polkowskiego. Biblioteka Poezji / Biblioteka „Toposu”, tom 150. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2018, s. 48.

Małgorzata Skałbania, *Che Barbaro momento*. Opracowanie graficzne: Małgorzata Rybicka. Drukarnia Akapit, Lublin 2017, s. A-Z (nienumerowane).

Krzysztof D. Szatrawski, *Czas pływających ogrodów*. Projekt okładki: Tadeusz Bumiewicz. Biblioteka Autorów Warmii i Mazur, Seria 4, tom xi. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Olsztyn, Olsztyn 2017, s. 100.

Andrzej Szuba, *444 strzepy (1980-2017)*. Na okładce obraz Cornelisa Norbertusa Gijsbrechtsa. Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2018, s. 170.

PROZA

Ibrahim Alsalbagh, *Nadchodzi poranek Aleppo, Syria. Naprawić dom, uleczyć serce*. Tłumaczenie: Krzysztof Stopa. Korekta: Lidia Ciecierska. Projekt okładki: Oficyna Wydawnicza Edytor.org. Fotografia na okładce: cloverphopto | iStock. Wydawnictwo Bernardinum Sp. z o.o., Pelplin 2018, s. 280.

Nadia Hamid, *Dzieci szariatatu. Losy tych, o których upomniał się Islam*. Redakcja i korekta: Anna Gniewkowska-Gracz. Projekt okładki: Michał Mierzejewski. Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o., Pelplin 2018, s. 160.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

Antony Beevor, *Arnhem. Operacja Market Garden*. Przekład: Paweł Cichawa. projekt okładki i opracowanie typograficzne: Witold Siemaszkiewicz. Fotografie na pierwszej stronie okładki: Stephen Mulcahey / Alamy Stock Photo Domena Publiczna. mapy: Jeff Edwards. Opracowanie map: Babnis. Opieka redakcyjna: Krzysztof Chaba. Konsultacja merytoryczna: Andrzej Kastory, Tomasz Babnis. Adjustacja: Ewa Penksyk-Kluczkowska. Indeks: Tomasz Babnis. Wydawnictwo Znak HORYZONT, Kraków 2018, s. 588.

Jacek Gutorow, *Monaten*. Opracowanie graficzne: Artur Skowroński. Fundacja na rzecz Kultury i Edukacji im. Tymoteusza Karpowicza, Wrocław 2017, s. 296.

Bogusław Jasiński, *Po drugiej stronie życia*. Projekt graficzny i projekt okładki: Bogusław Jasiński, na motywach *Imaginary Prisons* Giovanniego Battisty Piranesiego. Wydawnictwo ETHOS, Warszawa 2017, 3». 382.

Zbigniew Kulik, *Tadeusz Różewicz w fotografii*. Projekt graficzny: Jaremen Press. Muzeum Sportu i Turystyki w Karpaczu, Karpacz 2018, s. 96.

Janusz Limon, *Pasma i smugi*. Fotografia na okładce: Małgorzata Limon. Projekt okładki: Stanisław Salij. Projekt typograficzny: Joanna Kwiatkowska. Wydawnictwo słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2017, s. 176.

Janusz Limon, *Przestrzenie i zaułki*. Fotografia na okładce: Małgorzata Limon. Projekt okładki: Stanisław Salij. Projekt typograficzny: Joanna Kwiatkowska. Wydawnictwo słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2015, s. 144.

Waldemar Okoń, *Jestem jak echo. Rok 1983*. Projekt graficzny: Jarosław Danielak | Ad Fontes. Wrocławskie Wydawnictwo Warstwy, Wrocław 2017, s. 400.

Przeżyć by żyć. Z księdzem Markiem Chrzanoskim FDP rozmawia Partycja Michońska-Dynek. Opowieść o wierze, miłości i uzdrowieniu. Korekta: Anna Gądek. Autor zdjęć na okładce: Sławomir Dynek / Cogito Media. W książce wykorzy-

stano wiersze z tomów: „Ślady na sercu”, „Szafirowe jeziora” oraz „Dotykanie błękitu”. Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o., Pelplin 2018, s. 128.

Krzysztof Rutkowski, *Warszawskie pasaże*. Fotografia na okładce: Bogdan Konopka. Projekt graficzny i typograficzny: Stanisław Salij. Wydawnictwo słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2018, s. 160.

Rysopis kapłana. Wizerunek księdza w kulturze polskiej w XXI wieku pod redakcją Łukasza Janickiego. Projekt okładki: Krystyna Dziadczyk. Wydawnictwo Archidiecezji Lubelskiej GAUDIUM, Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent” Lublin 2018, s. 110.

Bartosz Suwiński, *Po tej stronie rzeki. Szkice o poetach znad Odry*. Projekt okładki: Marta Wolna. Zdjęcie na okładce: Michał Nowik. Zdjęcie autora: Sebastian Mikoś. Wydawnictwo Nowik, Opole 2017, s. 170.

Małgorzata Szejnert, *Wyspa Węży*. Projekt okładki: Witold Siemaszkiewicz. Fotografia na I stronie okładki: PAP/CAF. Fotografia autorki na IV stronie okładki: Joanna Gromek-Ilg. Wydawnictwo Znak, Kraków 2018, s. 400.

W mojej epoce już wymieram. Antologia szkiców o twórczości Jana Polkowskiego (1979-2017). Projekt okładki: Marek Górny i Paweł Górny. Na okładce: Jan Vermeer van Delft *Czytając list (fragment)*. Biblioteka Pana Cogito. JMRTrans-Atlantyck, Instytut Myśli Józefa Tischnera, Kraków 2017, s. 442.

Marta Wyka, *Napisane niedawno*. Projekt okładki i stron tytułowych: Marek Pawłowski. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2018, s. 216.

Zemsta ręki śmiertelnej. Interpretacje wierszy poetów XX wieku. Projekt okładki: Marek Górny i Paweł Górny. Na okładce *Anioł boleści* Williama Stora. Biblioteka Pana Cogito. JMRTrans-Atlantyck, Instytut Myśli Józefa Tischnera, Kraków 2017, s. 344.



Rys. Barbara Medajska

Liryki na czarnym i na białym

W jednej książce autorka pomieściła dwa tomiki wierszy: „W windzie Pana poznałam”, czarną czcionką na białym tle oraz „Czy nam się śniło?”, białą czcionką na czarnym. Obydwa zostały poświęcone drugiemu mężowi – Antoniemu, którego wcześniej spotkała z kwiatami dla jego żony, a była wtedy żoną Kazimierza, który jako młodą osobę wprowadzał w arkany życia. Tak się złożyło, że Antoni również zmarł, a obydwie tomiki są poświęcone jego pamięci, a szczególnie jego wpływowi na rozwój artystyczny poetki, którą zainteresował sztuką, co przełożyło się na rozwój jakościowy jej poezji. W wierszu pt. „Aranżer wnętrza” autorka tak oto ukazuje podstawy tego związku: *piękne to nasze / zaczarowane pudełko / z widokiem na klasztor / ktoś kiedyś / tchnął w nie / dobrą energię // my tylko umebłowaliśmy w nim nasze życie.*

Z kolei w wierszu bez tytułu dowiadujemy się, że poetka sądzi, iż *mam Ciebie przy sobie / jak dowód tożsamości / o przedłużonym terminie ważności / miłość laminowana w dniu wystawienia / nie blaknie od słońca / nie wyciera się / zdjęcie z roku na rok takie samo / – życie nie umiera.*

Głębokie uczucie, które rozkwitło między nimi, autorka czuje, że jest ono źródłem jej głębokiej przebudowy uczuciowej, a w wierszu pt. „Głębia” dowiadujemy się, że prosi: *ukryj mnie w sobie / zanurz w oceanie / nieskończoności / gdzie małż rodzi perłę / poczęta z bólu / stanę się jak ona / urzekającym pięknem.*

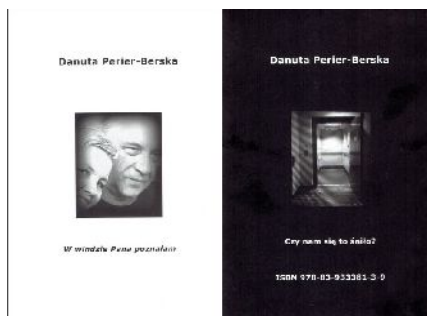
Te dwie części tomiku zawierają wiersze typowo liryczne, mocno osadzone w uczuciu i emocjach związanych z obcowaniem z tym mężczyzną. Ich życie staje się czymś na kształt bajki, którą oboje tworzą i opowiadają codziennie. W tym związku kluczowy staje się dotyk, który przybiera różne formy: jest nim faktyczne dotykanie, ale i dotyk słowny, mimiczny, emocjonalny. Związkowi temu towarzyszy niekończące się poczucie szczęścia, a w wierszu pod takim tytułem czytamy: *bywa że szczęście jak wiatr / przelatuje koło nas / czasami uda się / (...) złapać je za rękę / zapytać jak ma na imię / wtedy mówi / mam na imię / Miłość / i na naszych oczach / zamienia się / w dmuchawiec.*

Zaś w części „białe na czarnym” autorka jakby oplakuje odejście Antoniego i nie rozumie dlaczego los ją tak doświadcza. Tu jej wiersze o podłożu erotycznym prze-

kształcają się w treny, i nie spełnia się jedyna jego obietnica, że jej nigdy nie zostawi i pozostaje jej „przytulać się do siebie”. W „Toaście do samotności”, dowiadujemy się: *Ten sylwester nic dobrego nie przyniesie, / nasza miłość pogubiła rytm / (...) Kiedy północ wybija zegary / jedno życzenie dziś mam, / abym miała w sobie tyle wiary, / w to, że się spotkamy / kiedyś... / tam...*

Tomik ten stanowi znakomity zestaw liryków o głębokim podłożu dramatycznym, podbudowanym głębokim przeżyciem miłości, typowym dla poezji kobiecej, dyskontującej dramat istnienia w świecie. Autorka bardzo precyzyjnie wyeksponowała drogę przeżyć emocjonalnych, które towarzyszą tego typu doświadczeniom i przeżyciom, które nieobce są wrażliwym kobietom.

prof. Ignacy S. Fiut



Danuta Perier-Berska, „W windzie Pana poznałam” i „Czy nam się to śniło?”. Poligrafia Salezjańska, Kraków 2017, s. 24 i 30.



O Edwardzie Szymańskim w 75. rocznicę śmierci

(Dokończenie ze strony 11)

Ciężko chory przebywał w domu, nie mogąc nawet wyjść na dwór. W grudniu 1940 roku Szymański poddał się w warszawskim szpitalu trepanacji czaszki. Gdy po operacji wrócił do rodziny próbował dalej pisać, gościł też tak znakomitych gości

jak np. Antoniego Bolesława Dobrowolskiego, uczestnika wypraw polarnych, czy Benedykta Hertza, ten drugi ukrywał się właściwie w podlaskim domku poety.

Ze względu na kłopoty ze zdrowiem Szymański musiał ograniczyć swoją aktywność, nie wyjeżdżał zbyt daleko od domu. Byli jednak tacy, którzy go zauważyli i donieśli Niemcom, że na Podlasiu mieszka „komunista”. Dlatego poeta stale zmieniał miejsca pobytu. W końcu zamieszkał we wsi Pniewnik pod Radzyminem. 9 czerwca 1943 roku gestapowcy otoczyli chałupę, gdzie się ukrywał. Ładosz napisał, iż zdradzili go: nauczyciel, wikary i sołtys. Przewieziono poetę na Pawiak. 14 września zarejestrowano w KL Auschwitz transport, w którym znalazł się Edward Szymański, schorowany inwalida. Otrzymał obozowy numer 150526 z czerwonym trójkątem więźnia politycznego.

W oficjalnym zawiadomieniu przez gestapo z Sokołowa Podlaskiego, które otrzymała żona, napisano, że poeta zmarł w Oświęcimiu 15 grudnia 1943 roku.

Żył zaledwie 36 lat. Jego twórczy dorobek jest bardzo bogaty, chociaż nie wszystkie utwory obecne w przedwojennej prasie socjalistycznej (działającej legalnie) udało się odnaleźć i zidentyfikować.

„Widzę go wciąż jak żywego. Młoda postać robotnika o ruchach marynarza. Piękna, nieco błada twarz o ciemnych, smutnych oczach. I – pełen prostoty, dziecinny niemal, chwytający za serce uśmiech”, pisał po latach Henryk Ładosz.

„Znałam go, szanowałam za przekonania, ceniłam za talent, lubiłam za wyjątkowy urok osobisty, prostotę, bezpośredniość i serdeczny stosunek do ludzi”, pisała z kolei Zofia Janczykowa.

Dobrym i serdecznym słowem wspominali go także Władysław Broniewski, Konstanty I. Gałczyński, Gustaw Morcinek, Anna Świrszczyńska, Julian Tuwim, Helena Za-torska i wiele innych osób.

W setną rocznicę urodzin Szymańskiego Ryszard Matuszewski przypomniał, iż poeta nigdy nie deklarował się jako komunista i nigdy w jego twórczości nie padło słowo „Związek Radziecki”. I dalej: „A gdy chodzi o wiersze Edwarda Szymańskiego, to mam wrażenie, że nikt z miłośników poezji nie zaprzeczy, iż pozostają one nie tylko wciąż żywym, historycznym dokumentem swojej epoki, ale także mogą nam – dziś dostarczyć wielu estetycznych satysfakcji, zwłaszcza, jeśli je czytać będziemy w umiejętnie i z poetyckim smakiem dokonanym wyborze”.

Czy nie należałoby tego wyboru opublikować np. w LSW-owskiej serii „Biblioteka Poetów”?

Stanisław Grabowski

Gazeta Kulturalna
Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543; e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — **Andrzej Dębowski**.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czerniawski, Małgorzata Dębowska, Anna Dominiak, prof. Ignacy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Iwosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszowska, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.